Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 16. Listopada 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 42.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

SZKICE WĘGLEM.

LITWOSA.

(*Ciąg dalszy.*)

II.

Niektóre inne osoby i przykre widzenia.

W godzinę potem może, przyjechał Rzepa z lasu z cieślą Łukaszem, na dworskim wozie. Rzepa, chłopisko był rosły, jak topola, tęgi — prawdziwie od topora. Jeździł on teraz codziennie do lasu, bo pan wszystek las, na którym nie było serwitutów, sprzedał żydom, szedł więc wyrąb sosen. Rzepa zarobek miał dobry, bo i do roboty był dobry. — Jak bywało, plunie w garście, a chwyci za topór, a machnie a stęknie, a uderzy, to aż sosna zadrży, a wiór na pół łokcia się od niej oderwie. W ładowaniu drzewa na fury, także był pierwszy. Żydy, co chodziły po lesie z miarą w ręku, i spoglądały na wierzchołki sosen, jakby szukając gniazd wronich, dziwowały się jego sile. Bogaty kupiec z Osłowic, Dryśla, mawiał do niego:

— No, ty Rzepa! niech ciebie djabuł weźnie. Na! sieść groszy na wódkę... nie, czekaj; na! pięć groszy na wódkę.

A Rzepa nic. Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem, ot dla uciechy, puszczał głos po lesie:

— Hoop! hop!

Głos leciał między pnie, a potem wracał echem.

I znowu nie było nic słychać, prócz huku Rzepowego toporu; a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem; zwyczajnie jak w lesie.

Czasem znów drwale śpiewali, ale i do tego Rzepa był pierwszy. Trzeba było słyszeć jak huczał z drwalami pieśń, którą ich sam nauczył:

„Coś tam w boru hukneno!
Buuuu!
„I okrutnie stukneno
Buuuuu!
„A to komar z dęba spadł
Buuuu!
„I stłukł sobie w plecach gnat
Buuuu!
„A tu mucha poćciwa
Buuuuu!
„Leci ledwie co żywa
Buuuu!
„I pyta się komara
Buuuu!
„Czy nie trzeba doktora
Buuuu!
„Oj! nie trzeba doktora
Buuu!
„Ani żadnej apteki
Buuuu!
„Jeno rydla, motyki
Buuuu!“

W karczmie też Rzepa pierwszy był do wszystkiego, tylko że siwuchę lubił a skory był do bitki, jak podpił. Raz Damazemu, parobkowi dworskiemu, zrobił taką dziurę we łbie, że Józwowa, gospodyni folwarczna, zaklinała się, że mu duszę było przez nią widać. Innym razem, ale to ledwie miał wtedy siedmnaście lat, pobił się w karczmie z urlopnikami. Pan Skorabiewski, który wtedy jeszcze był wójtem, sprowadził go do kancelarji, dał mu raz i drugi w łeb, ale tylko dla pozoru, a potem, udobruchawszy się zaraz — pytał:

— Rzepa, bój się Boga! jakżeś ty z niemi poradził, przecie ich było siedmiu?

A Rzepa na to:

— A cóż, jaśnie dziedzicu! nożyska mają masierunkiem zerwane, to tylko com się którego tknon, to on zaraz o ziem.

Pan Skorabiewski zatarł sprawę. On dawniej był dziwnie łaskaw na Rzepę. Baby gadały nawet jedna drugiej do ucha, że Rzepa to jego syn. Toć znać zaraz (dodawały), że fantazją ma psia jucha ślachecką.“

Ale to nie była prawda, choć matkę Rzepy znali wszyscy, a ojca nikt. Sam Rzepa siedział komornem na chałupie i na trzech morgach, na których go też i uwłaszczenie zastało. Potem zaczął gospodarować na swojem, a że chłop był gospodarny, więc szło mu jako tako. Ożenił się, dostał żonę taką, że lepszej i ze świecą szukać, więc byłoby się pewno i bardzo dobrze wiodło, żeby nie to, że wódkę trochę zanadto lubił.

Ale cóż było na to poradzić. Jak ktoś do niego z wymówką, tak zaraz odpowiadał:

— Piję, to za swoje, a wam zasię!

Nikogo się we wsi nie bał, przed jednym pisarzem mores znał. Gdy zobaczył zdaleka zieloną czapkę, zadarty nos i kozią bródkę, idące na wysokich nogach zwolna po drodze, to się za czapkę brał. Na Rzepę pisarz też wiedział jakieś sprawki. Kazali Rzepie wozić w czasie zawieruchy jakieś papiery, to i woził. A jemu to co? Zresztą on wtedy miał piętnaście lat i jeszcze za gęsiami a za świńmi chodził. Ale potem pomyślał, że jednakże za owo wożenie papierów może być odpowiedzialność, więc się pisarza bał.

Taki to był Rzepa.

Gdy wrócił tego dnia z boru do chałupy, wypadła do niego kobieta z płaczem wielkim i dalejże wołać:

— Już ciebie nieboże, niedługo moje oczy będą oglądały, już ja ci nie będę ni chustów prała, ni jeść gotowała. Pójdziesz ty nieboraku na kraj świata.

A Rzepa się zdziwił.

— Czyś ty się kobieto — rzeknie — blekotu najadła, czy cię ta giez ukąsił?

— Ni ja się blekotu najadłam, ni mnie giez ukąsił, jeno pisarz tu był, i mówił, że tobie już ni jak od wojska się nie wykręcić.... Oj! pójdziesz, pójdziesz na kraj świata!

Dopieró on ją wypytywać; jak, co, a ona mu opowiedziała wszystko, tylko o bałamuctwie pisarza zataiła, bo się bała, żeby Rzepa głupstwa pisarzowi, nie powiedział, albo, czego Boże broń! na niego się nie porwał, i tem sprawy swojej nie pogorszył.

— Ty głupia! — powiedział w końcu Rzepa — czego płaczesz? mnie do wojska nie wezną, bom wyszedł z lat; przytem chałupę mam, grunt mam, ciebie, głupia, mam, a i tego raka utrapionego także.

To mówiąc pokazał na kołyskę, w której rak utrapiony, t. j tęgi roczny chłopak, wierzgał nogami i wrzeszczał, że aż uszy pękały.

Kobieta poczęła obcierać oczy fartuchem i rzekła:

— Co ta wszystko znaczy. Albo to on nie wie o papierach, coś je woził z boru do boru.

Teraz Rzepa podrabał się w głowę.

— Jużci bo wie.

Po chwili zaś dodał:

—Pójdę ja z nim pogadać. Może to nic strasznego.

— Idź, idź — rzekła kobieta — a weż ze sobą rubla. Do niego bez rubla nie przystępuj.

Rzepa wydobył ze skrzyni rubla i poszedł do pana pisarza.

Pisarz był kawaler, nie miał więc osobnego domu, ale mieszkał w czworakach stojących nad stawem, czyli tak zwanem murowanem. Tam w osobnej sieni miał dwie izby na swój użytek.

W pierwszej izbie nie było nic, tylko trochę słomy i para kamaszów, druga była zarazem salonem i sypialnią. Stało tam łóżko nie zaścielane prawie nigdy, na łóżku dwie poduszki bez poszewek, z których sypały się pierze, obok stół, na nim kałamarz, pióra, książki kancelaryjne, kilkanaście zeszytów „Izabeli hiszpańskiej,“ wydawnictwa pana Breslauera, dwa brudne kołnierzyki angielskie, słoik pomady, gilzy do papierosów, i wreszcie świeca w blaszanym lichtarzu z rudym knotem i muchami potopionemi w łoju koło knota.

Przy oknie wisiało spore lustro, naprzeciw zaś okna mieściła się komoda, obejmująca nader wykwintną tualetę pana pisarza; różnych odcieniów majtki, kamizelki bajecznych kolorów, krawaty, rękawiczki, lakierki, a nawet i cylinder, którego pan pisarz używał wtedy, gdy wypadło mu jechać do powiatowego miasta Osłowic.

Oprócz tego w chwili, o której mowa, na krześle przy łóżku, spoczywały korty i nankiny pana pisarza, sam zaś pan pisarz leżał w pościeli i czytał zeszyt „Izabeli hiszpańskiej, wydawnictwa pana Breslauera.“

Położenie jego, to jest nie pana Breslauera, ale pana pisarza, było okropne, tak nawet okropne, że trzebaby mieć chyba styl Wiktora Hugo, żeby je opisać, jak było okropne.

Przedewszystkiem w ranie czuł szalony ból. Owe czytanie Izabeli, które było dlań zawsze najmilszą pociechą i rozrywką, teraz powiększało jeszcze nietylko ból, ale i gorycz, jaka go trapiła po owym wypadku z Kruczkiem.

Miał trochę gorączki i ledwo mógł zebrać się z myślami. Czasem nawiedzały go straszne marzenia. Czytał właśnie, jak młody Serrano przybywa do Eskurjalu, pokryty ranami. Młoda Izabela przyjmuje go wzruszona i blada. Muślin faluje żywo na jej piersiach:

— Jenerale! tyś ranny? — pyta Serrana ze drżeniem w głosie.

Tu nieszczęśliwemu Zołzikiewiczowi zdaje się, że istotnie jest Serranem.

— Oj! oj! jestem ranny! — powtarza przygnębionym głosem. — Królowo przebacz! A żeby to najjaśniejsze...

— Spocznij jenerale! siadaj, siadaj! Opowiedz mi swoje bohaterskie czyny.

— Opowiedzieć mogę, ale usiąść żadną miarą — woła zdesperowany Serrano. — Oj!-.. Wybacz Królowo. Ten przeklęty Kruczek... chciałem powiedzieć: Don Jose... Aj! aj! aj!

Tu ból rozprasza marzenie. Serrano rozgląda się; świeca pali się na stole i pryska, bo właśnie zaczęła się palić nasiąknięta łojem mucha; inne muchy łażą po ścianach... A? więc to czworaki, nie Eskurjal? Królowej Izabeli nie ma? Tu pan Zołzikiewicz przychodzi całkiem do przytomności! podnosi się na łóżku, macza chustkę w dzbanku z wodą stojącym pod łóżkiem i zmienia okład.

Poczem zwraca się do ściany, zasypia, a raczej rozmarza się, wpół śnie wpół jawie, i oczywiście jedzie znowu, jakby ekstrapocztą do Eskurjalu.

— Miły Serrano! kochanku mój! sama opatrzę twe rany! — szepcze królowa.

Serranowi włosy na głowie powstają. Czuje całą okropność swej pozycji. Jak tu nie posłuchać królowej, a jak tu zarazem poddać się interesującemu opatrunkowi? Zimny pot występuje mu na czoło, gdy nagle...

Nagle królowa znika, drzwi otwierają się z trzaskiem i staje w nich, ni mniej ni więcej, jak tylko don Jose, zacięty wróg Serrana.

— Czego tu chcesz? Ktoś ty? — woła Serrano.

— To ja Rzepa!, odpowiada ponuro Don Jose.

Zołzikiewicz budzi się po raz drugi; Eskurjal staje się znów murowańcem, świeca się pali, mucha przy knocie trzeszczy i pryska błękitnemi kropelkami; we drzwiach stoi Rzepa, a za nim.., pióro wypada mi z ręki... przez pół odchylone drzwi, wsadza łeb i kark Kruczek.

Potwór trzyma oczy utkwione w pana Zołzikiewicza i zdaje się uśmiechać.

Zimny pot naprawdę występuje na skronie pana Zołzikiewicza, a przez głowę przelatuje mu myśl: Rzepa przyszedł połamać mi kości, a Kruczek z drugiej strony...

— Czego tu obaj chcecie? — woła wystraszonym głosem.

— Jelemożny pisarzu! a to ja przyszedłem wedle... tej branki.

— Won! won! won! — krzyknie na to Zołzikiewicz, w którego nagle duch wstąpił.

I wpadłszy w wściekłość, zrywa się do Rzepy, ale w tej chwili w karlistowskiej ranie zabolało go srodze, pada więc znowu na poduszki, wydając tylko przygłuszone jęki:

— Oj, jej!

III.

Rozmyślania i eureka.

Rana ogniła się.

Widzę, jak piękne czytelniczki poczynają łzy ronić nad moim bohaterem, a zatem, nim która z nich zemdleje, pospieszam dodać, że jednak bohater nie umarł z tej rany. Przeznaczonem mu było żyć jeszcze długo. Zresztą gdyby umarł, złamałbym pióro i skończył powieść, ale, że nie umarł, ciągnę więc dalej.

Owóż więc rana ogniła się, ale nadspodziewanie wyszła na korzyść kanclerzowi z Baraniej-Głowy, a stało się to bardzo prostym sposobem: ściągnęła mu humory z głowy, więc zaczął myśleć jaśniej i zaraz poznał, że robił dotychczas same głupstwa. Bo tylko proszę posłuchać: kanclerz zagiął sobie, jak mówią w Warszawie, parol na Rzepową — i nie dziwić się mu, bo też to była kobieta, jakiej drugiej nie znaleźć w całym powiecie Osłowickim — chciał się pozbyć Rzepy. Gdyby raz Rzepę wzięli do wojska, kanclerz mógłby sobie powiedzieć: „Hulaj dusza bez kontusza!“ Ale nie łatwo było zamiast wójtowego syna, podsunąć Rzepę. Pisarz jest potęgą — Zołzikiewicz był potęgą między pisarzami, to jednak nieszczęście, że w sprawie poboru nie był ostatnią instancją. Tu przychodziło mieć do czynienia ze strażą ziemską, z komisją wojskową, z naczelnikiem powiatu, z naczelnikiem straży, które to wszystkie osobistości bynajmniej nie były interesowane, żeby zamiast Buraka, obdarzyć armję i państwo Rzepą. „Umieścić go w spisie wojskowym?“ — i cóż dalej? pytał siebie mój sympatyczny bohater. Spisy sprawdzą, a że metryki muszą być załączone, i że Rzepie trudno także zakneblować usta, dadzą więc nosa, zrzucą może jeszcze z pisarstwa i skończyło się.

Najwięksi ludzie, pod wpływem namiętności, robili głupstwa, ale w tem właśnie ich wielkość, że poznawali się na tem dość wcześnie. Zołzikiewicz powiedział sobie, że obiecawszy Burakowi zaciągnąć Rzepę na listę poborowych, uczynił pierwsze głupstwo — poszedłszy do Rzepowej i napadłszy ją przy mędlicy, uczynił — drugie głupstwo, przestraszywszy ją i męża poborem, uczynił trzecie głupstwo. O chwilo szczytna! w której mąż prawdziwie wielki mówi sobie: jestem osłem! nadeszłaś wówczas i dla Baraniej-Głowy, zleciałaś jakoby na skrzydłach z tej krainy, gdzie wzniosłe wspiera się na szczytnem, bo Zołzikiewicz powiedział sobie wyraźnie: jestem osłem!

Czyż jednak miał porzucić plan teraz, kiedy oblał go już krwią własnych... (w zapale powiedział: własnych piersi) miałżeby porzucić plan, gdy uświęcił go nowiutką parą kortowych, za którą nie zapłacił jeszcze Srulowi — i parą nankinowych, którą sam nie wiedział, czy dwa razy miał na sobie?

Nie i nigdy!

Przeciwnie teraz, gdy do projektów na Rzepową, przyłączyła się chęć zemsty nad obojgiem i nad Kruczkiem z niemi razem, Zołzikiewicz przysiągł sobie, że kpem będzie, jeżeli Rzepie sadła za skórę nie zaleje.

Myślał więc nad sposobami pierwszego dnia, zmieniając okłady, myślał drugiego, zmieniając okłady, myślał trzeciego zmieniając okłady, i czy wiecie co wymyślił? Oto nic nie wymyślił.

Na czwarty dzień przywiózł mu stójka z Osłowickiej apteki diachelum. — Zołzikiewicz rozsmarował na płatek, przyłożył i co za cudowne skutki tego medicamentum! prawie jednocześnie wykrzyknął: „Znalazłem!“ Istotnie coś znalazł. (C. d. n.)

POGADANKI

O różnych mniemaniach naukowych i nienaukowych.
przez
WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

2. O pozytywizmie i Darwinizmie.

(Dokończenie).

Przechodzimy teraz do Darwinizmu. Nim atoli do niego przystąpimy, pozwól szanowny czytelniku, że ci przypomnę zdanie Szekspira, znane ci zapewne chociażby z Mickiewicza, który je wziął za godło do jednego ze swych utworów. Zdanie to powiada, że są na świecie cuda, o jakich ani się śniło naszym filozofom. Chociaż to już z górą lat dwieście upłynęło, jak je wygłosił sławny angielski tragik, z tem wszystkiem nie straciło ono do dziś dnia na swem znaczeniu i prawdziwem zostanie na zawsze.

Tak! są cuda na świecie, ale są niemi nie owe nadzwyczajne wydarzenia, gwałcące zwykły rzeczy porządek, nie owe nadnaturalne zjawiska, szydzące z praw przyrody i ze zdrowej ludzkiej logiki, o jakich nam prawią pobożne legendy i ludowe baśnie; lecz owe proste, powszechne zjawiska przyrody, które dlatego tylko dziwić nas przestały, żeśmy wśród nich wzrośli, oswoiliśmy się z niemi i nawykli tak, że nie możemy nic cudownego w nich się dopatrzeć, że zdają sie nam być pozbawionemi wszelkiej tajemniczości. Nazywamy je zjawiskami naturalnemi nietylko dlatego, że stanowią one wątek całej rzeczywistości, ale i dlatego, że je uważamy za rzeczy, które nie mają dla nas nic zagadkowego. Zastanówmy się przecież nieco uważniej nad temi prostemi i naturalnemi zjawiskami, a odkryjemy w nich tyle cudowności, tyle tajemniczej głębokości, że myśl chcąca je zbadać, cofa się z przerażeniem, jak człowiek który spojrzawszy w bezdenną przepaść, dostał zawrotu głowy. Od ziarnka piasku i źdźbła trawy, od mikroskopijnego wymoczka i unoszącego się w powietrzu motylka, aż do gór buchających ogniem i człowieka, trawionego żądzą wiedzy i panowania nad światem, stwarzającego sobie świat osobny w niczem niepodobny do tego, jaki był przed nim—świat społecznych związków, przemysłu, nauki i sztuki, wszystko to jest stokroć większym cudem od tych, o jakich nam prawią niańki i szpitalne dziady. Nie mają one dla nas żadnej cudowności, bo nam spowszedniały, lecz zwróćmy uwagę na kilkoletnie dziecko, z jaką to naiwną ciekawością przypatruje się ono wszystkiemu, co w koło niego się dzieje, jak każda nowa rzecz zachwyca je, zdumiewa! Młoda jego, nieobyta ze zjawiskami przyrody myśl, wszędzie cuda znajduje, czuje się otoczona jakąś uroczą tajemniczością, z której zdać sobie sprawy nie umie. O wszystko się dopytuje, o wszystkiem chciałoby wiedzieć. Ta niezmęczona ciekawość dziecka bawi nas, a nie rzadko śmieszy. Zapomniawszy, że i my byliśmy kiedyś dziećmi, że i nas tak samo wszystko zajmowało, dziwiło i zachwycało, nie możemy zrozumieć tej naprzykszonej ciekawości dziecka, dopytującego się ciągle: zkąd się to wszystko wzięło? Na to jego pytanie odpowiadamy z powagą ludzi, którzy pod tym względem coś wiedzą, że to pan Bóg stworzył. Dziecko czuje się być zadowolonem z tej odpowiedzi, i my jesteśmy z niej zadowoleni. Zdaje się nam, żeśmy tą zwięzłą odpowiedzią rozwiązali zagadkę stworzenia, wytłumaczyli jedną z najstraszniejszych tajemnic, tymczasem tajemnica została tajemnicą i nadal.

Łatwo powiedzieć, że to Bóg stworzył świat z niczego, że to on wszechmocną swą dłonią rzucił w nieskończoną przestrzeń wszystkie te słońca, co błyszczą na niebie gwiazdami, każdemu z nich nakreśliwszy prawa jego ruchu; że to On przystroił ziemię w rośliny, zaludnił ją zwierzętami i dał jej za pana człowieka! Ale czy ta odpowiedź robi nas mędrszymi, niż byliśmy przed jej odebraniem? czy rozjaśnia nam ona tajemnicę stworzenia? czy choć na jeden krok zbliża nas do rozwiązania owej zagadki?

Naturalnie, śmiesznem byłoby wymagać, by dawano dziecku inną jaką odpowiedź; ale śmiesznem jest również wymagać, by na niej miała poprzestawać badawcza myśl filozofa, by nią musiała się zadowalać ciekawość przyrodnika.

Rozum ludzki, nauczony smutnem doświadczeniem, wie bardzo dobrze, że nie wolno mu myśleć o zdarciu zasłony z pierwszej przyczyny wszystkiego, która pozostanie dlań zakryta na zawsze; wie, że jak cała rzeczywistość w swych widomych i dotykalnych kształtach opiera się na niezgłębionej tajemniczości, tak też i nasze poznanie, zaczynając od tego, co jest prostem i zrozumiałem, musi skończyć na zagadce, pierwszej przyczynie, i przed nią zatrzymać się. Z tem wszystkiem wie on również, że między pierwszą przyczyną, czyli początkiem wszechrzeczy, a ich rzeczywistym stanem były pośrednie ogniwa, których zbadanie, lubo nie odkrywa tajemnicy stworzenia, w każdym razie zbliża nas do niej do pewnego stopnia. W zbadaniu tych pośrednich ogniw leży klucz do wyjaśnienia, jak się stało wszystko to, co spostrzegamy dziś w około siebie, z jakich żywiołów składa się rzeczywistość i jakiemi kieruje się prawami, słowem, prowadzi nas do poznania bliższych przyczyn wszystkich zjawisk tak nieorganicznego jak i organicznego świata. W zakresie tych to bliższych przyczyn nie może on już dziś poprzestawać na odpowiedzi: tak pan Bóg zrobił, tak On ustanowił itd., gdyż przyjmując nawet czynną interwencję opatrzności w sprawach tego świata, wie on, że posługuje się ona w tem środkami naturalnemi, że nie potrzebuje dlatego gwałcić prawa przyrody, zakłócać porządek rzeczy, który sama ustanowiła; że więc badanie dziejów przyrody w tym zakresie jest możliwe i nic w sobie nie zawiera takiego, coby mogło sprzeciwiać się religijnemu uczuciu. Jakoż nikt już dzisiaj nie bierze za złe astronomom, że ci starają się wytłumaczyć wszystkie zjawiska, dotyczące ciał niebieskich, za pomocą praw naturalnych, które działają tak, jak gdyby się Bóg wcale do ich spraw nie mięszał. Co więcej, wolno im nawet wyjaśniać tworzenie się całego świata za pomocą hipotezy Laplasa, który przypuszcza, że wszystkie niebieskie ciała powstały z kosmicznej materji, drogą powolnego skupienia się w oddzielne mgławice. Tak samo nikt się nie gorszy z usiłowań dzisiejszych geologów, którzy, odrzucając bezpośrednią interwencję woli bożej w zmianach, zaszłych w ziemskiej skorupie, szukają ich przyczyn w zjawiskach i prawach natury, jakie do dziś dnia są czynnemi. To samo ma się z fizyką i chemią, którym wolno z zakresu swych badań wykluczyć Boga i tłumaczyć wszystko za pomocą wyników, do jakich prowadzi doświadczenie, lub też uciekać się do hipotez takich, jak teorja atomistyczna lub jedności sił, hipotez nie zostawiających miejsca na interwencją opatrzności. Temu to właśnie nowemu kierunkowi zawdzięczają powyższe nauki ów wysoki stopień doskonałości, do jakiego doszły od czasu, kiedy rozum ludzki, zerwawszy ostatecznie teologijne więzy, począł działać o własnych siłach i na własną odpowiedzialność.

Postęp dokonany w jednym zakresie badań, nie mógł pozostać bez wpływu i na inne badania. Nauki biologijne, botanika, zoologja i antropologja, nie mogły dłużej pozostawać na dotychczasowem empirycznem stanowisku, które, zadowalając się opisaniem tworów organicznych i ich pewnem uporządkowaniem, wszystkie zagadnienia, odnoszące się do powstawania gatunków, odsuwało od siebie, jak grzeszne pokusy i w napotykanych trudnościach odwoływało się do Boga, jak do *deus ex machina* starożytnej epopei. I w tych naukach musiał nareszcie dokonać się pożądany przewrót, który wyzwalając rozum od krępujących go przesądów, pozwolił mu z całą swobodą rozpocząć swe poszukiwania bez oglądania się na to, czy rezultaty, do jakich go jego badania doprowadzą, będą się zgadzać z teologijnem na świat zapatrywaniem się, lub też mu się sprzeciwiać. Naturalnie tak tu, jak i w naukach poprzednich, nie chodzi o początek organicznych bytów, o pierwszą ich przyczynę; ale o ich kształty obecne, o to, czy są one pierwotne, czy pochodne; jeżeli zaś pochodne, to drogą jakich zmian doszły one do obecnego stanu i jakie prawa leżą w podstawie ich bytu. Przewrotu tego dokonał Darwin.

Nie masz może drugiego przedmiotu naukowego, o krórymby w krótkim przeciągu czasu napisano tyle dzieł, co o Darwinie. Nasza literatura, tak uboga w dzieła naukowej treści, tak ślimaczo zaskorupiona w tem, co jest swojskie, domowe i tylko przypadkowo, mimochodem, zawadzająca czasami o to, co się dzieje zewnątrz niej, tak obojętna a nawet niechętna dla najnowszych kierunków oświaty, posiada przecież tyle dzieł i broszur, mniejsza, że po większej części tłumaczonych, o Darwiniźmie, że możnaby z nich dość pokaźną ułożyć bibljoteczkę.

Zdawałoby się, że ta mnogość dzieł, traktujących o Darwinizmie, nader szczęśliwą jest dla niego okolicznością, która znakomicie ułatwia rozpowszechnienie i spopularyzowanie jego zasad. Któż bowiem wśród tej powodzi dzieł i dziełek, głoszących zasady Darwinizmu i nastręczających się oczom publiczności w każdej chwili i na każdym kroku, zdoła oprzeć się pokusie, jeżeli już nie kupienia, to przynajmniej pożyczenia któregokolwiek z nich, by samemu dowiedzieć się, czem są owe zasady, które tak wszystkim zawróciły głowy, że jedni klną je na czem świat stoi, drudzy nie znajdują słów na ich uwielbienie i pochwały. Jakoż w istocie mało jest ludzi, z tych naturalnie, co bez wstrętu biorą poważną książkę do ręki, którzyby nie czytali czegoś o Darwinizmie i którzyby tem samem nie wiedzieli o nim daleko więcej, niż o innym jakim naukowym przedmiocie. Przed miesiącem jeszcze nie trudno było spotkać się u nas z takimi, co nie wiedzieli, kto jest Kraszewski, ale którzy wiedzieli bardzo dobrze, że jest gdzieś jakiś Darwin, co utrzymuje, że ludzie od małp pochodzą. Z tem wszystkiem, to tak nagłe upowszechnienie wiadomości o Darwinizmie mniej przyniosło mu korzyści, niżby tego spodziewać się można było, a kto wie czy nawet

*

mu nie zaszkodziło. Jeżeli bowiem z jednej strony imię Darwina nabyło takiego rozgłosu, jakim dotąd chyba tylko jedni bohaterowie krwawych bitew cieszyli się, to z drugiej strony wraz z spopularyzowaniem jego imienia rozpowszechniły się i ustaliły liczne bajki i koncepty, na jego rachunek wymyślone, liczne wyjaśnienia i przeróbki jego zasad, nie cofające się przed żadnemi następstwami i przekręcające w dobrej wierze jego myśli i dążności.

Rozpatrując się pilnie w całej literaturze, odnoszącej się do Darwinizmu, łatwo się przekonać, że więcej mu zaszkodzili fanatyczni, ale nie zupełnie wierni jego wyznawcy, nie umiejący się zatrzymać w granicach, jakie sam Darwin zakreślił swym badaniom, niż jego przeciwnicy, potępiający jego naukę z powodu, że nie podchodzi pod miarę dotychczasowego ich zapatrywania się na rzeczy. Jakoż przesada z jednej strony, przewrotne przedstawienie rzeczy i wyprowadzanie fałszywych wniosków z drugiej, doprowadziły do tego, że dziś ustaliło się o Darwinizmie przekonanie, które w jego zasadach upatruje coś na podobieństwo owego zaklęcia, jakiego użyła Cyrce, gdy przemieniała w wieprze szlachetnych towarzyszów Odyseusza. Dlatego też, jeżeli kto, to Darwin miałby najzupełniejsze prawo zawołać: Boże, broń mię od mych przyjaciół, gdyż od nieprzyjaciół sam się obronić potrafię!

Do takich jego przyjaciół należą Haeckel i jemu podobni, którzy zapominają, że wszelka teorja o tyle tylko jest naukową, o ile opiera się na faktach, o ile uogólnia tylko, usymbolizuje pewien, przez doświadczenie wykryty stosunek między zjawiskami tej lub owej grupy, albo li też między grupami zjawisk; że teorja nawet w ten sposób pojęta, nie jest niczem więcej, jak przypuszczeniem, którego głównem zadaniem połączyć luźne wiadomości w jedną całość, przypuszczeniem, które wtedy dopiero stanie się prawdą, gdy się znajdą bezpośrednie dowody na jej potwierdzenie.

Darwin, wierny pozytywnej metodzie, wszystkie swe założenia opiera na faktach i w wywodach swych sięga tak daleko, jak na to pozwalają reguły indukcji; w obronie swych zasad posługuje się on wyłącznie dowodami, jakich mu dostarczają nauki przyrodnicze i ogłasza je za pewniki w tym tylko razie, gdy za takie pozwala mu je uważać dokładne zbadanie faktów.

Wręcz przeciwnie postępuje Haeckel, który obok zalet wielkiego naturalisty, uczonego europejskiej sławy, posiada wspólną całemu narodowi niemieckiemu wadę, skłonność do metafizycznych zaciekań się. Przyjąwszy Darwinizm za prawdę bezwzględną, więcej się on troszczy o jego stronę logiczną, niż o faktyczną, i w rozwijaniu jego zasad, oraz w wyprowadzaniu z nich wniosków, ucieka się z braku faktów, do dowodów czysto logicznych, zapominając, że konsekwencja oderwanego myślenia, rzadko bywa wiernym tłómaczem rzeczywistości, która się układa z tylu różnorodnych, sprzecznych nieraz żywiołów, że jej zagadki zdają się szydzić z całej naszej logiki, wywracając z gruntu najmisterniejsze nasze teorje i przypuszczenia. Trudności, które zatrzymują Darwina na każdym kroku, zmuszając go do skromnego wyznania, że w tym punkcie nic pewnego nie może powiedzieć, dla Haeckla nie istnieją. W spekulacyjnym swym rozpędzie przesadza on najgłębsze przepaści, najniebezpieczniejsze zawady, byle nie zbaczać z prostej drogi i co najprędzej stanąć u celu, bynajmniej o to się nie troszcząc, że może za nim nikt podążyć nie zdoła, że może wprzód nim dotrze do mety, znajdzie się opuszczonym i osamotnionym w ciemnościach metafizycznego *monizmu**).

Z tej przesady Haeckla nie omieszkali korzystać przeciwnicy Darwinizmu, utrzymując, że konsekwencje, do jakich doszedł Haeckel, są naturalnem następstwem, logicznie wynikającem z zasad Darwinizmu; że kto przyjmuje te zasady, musi także przyjąć bezwarunkowo wszystkie jego logiczne konsekwencje, tak w zakresie czystej teorji, jak i praktyki.

Nie trudno dowieść, że cały ten zarzut opiera się na błędnem zapatrywaniu się na rzeczy, a mianowicie na przekonaniu, którego fałszywość dawno już została wykazaną, że wartość każdej zasady powinna być ocenianą ze stanowiska logicznych konsekwencji, jakie z niej dają się wyciągnąć. Pamiętajmy bowiem, że co innego jest z faktów, dostarczonych nam przez doświadczenie, wyprowadzać zasadę, która jest tylko prostem uogólnieniem ich stosunku, a co innego wyciągać z tej zasady logiczne wnioski, które mogą, a nawet zwykle bywają przeciwnemi warunkom rzeczywistości. To też gdy zasada, oparta na faktach, jest prawdziwa, wyprowadzane z niej logiczne konsekwencje mogą być fałszywe, z tego względu, że nie odpowiadają wcale istniejącym stosunkom rzeczywistości. Zasada bowiem, do jakiejkolwiek bądź gałęzi naszej wiedzy należy, nie jest czem innem, jak abstrakcją, jak pojęciem, które przedstawia pewien rzeczywisty stosunek w oderwaniu od jego warunków, od towarzyszących mu i rozmaicie zmieniających go tak pod względem zakresu, jak i jego następstw okoliczności. Wyciąganie więc z takiej zasady logicznych wniosków, bez oglądania się na warunki jej zastosowania, musi prowadzić z konieczności do wyników zgoła fałszywych, a przynajmniej takich, które prawdziwemi byłyby w takim tylko razie, gdyby owa zasada mogła być zastosowaną bezwarunkowo, gdyby stały rzeczy porządek na świecie nie sprzeciwiał się wszystkim jej następstwom, nie wpływał na ograniczenie jej skutków.

Utrzymywać więc, że kto przyjmuje jakąś zasadę, ten musi również przyjąć i wszystkie logiczne konsekwencje, jakie komu podoba się z niej wyciągać bez oglądania się na fakty, na których zasada owa opiera się, a które zarazem wskazują granice, w jakich godzi się wyprowadzać wnioski, znaczy zapoznawać elementarne zasady zdrowej logiki, grzeszyć przeciwko kardynalnym warunkom rzeczywistości.

Wolno jest Haecklowi nie oglądać się na fakty i budować swój genealogiczny rodowód organicznych ustrojów na podstawie tylko dalekiej analogji; wolno wyprowadzać mu wszystkie kształty organicznego życia z moner, będących bezkształtną bryłką śluzowatej materji, obdarzonej życiem, i człowieka robić potomkiem w prostej linji małp do dziś dnia istniejących; ale nie wolno obwiniać za to Darwina, który trzymając się faktów, do innych dochodzi wyników; ale nie wolno sądzić Darwinizmu ze stanowiska fantastycznych pomysłów Haeckla i zaliczać go do fikcji, do utopij, które żadnego pożytku nauce nie przynosząc, obałamucają nierozważne umysły i tem samem szkodzą rzetelnemu postępowi ludzkości.

*) Monizm—doktryna, która uznaje we wszechświecie jeden tylko pierwiastek, materję, i jedno tylko zasadnicze prawo, przeobrażanie się kształtów materji. Jest to więc po prostu materjalizm w nowej szacie.

Jakie są zasady Darwinizmu, nie mogę ci tu wykładać, szanowny czytelniku; na to nie mam ani miejsca ani czasu. Odsyłając cię więc do dzieł, specjalnie traktujących o tym przedmiocie, a przedewszystkiem do dzieł samegoż Darwina, z których najważniejsze posiadamy w tłómaczeniu, napomknę tylko mimochodem, że Darwin przyjmuje kilka typów gotowych tak dla świata roślinnego, jak i dla zwierzęcego i z nich wyprowadza wszystkie istniejące gatunki organicznych ustrojów, nie wyjmując nawet człowieka; że tego ostatniego wyprowadza od zaginionego typu, będącego także przodkiem małp dzisiejszych, które zatem wraz z rodzajem ludzkim stanowią dwie gałęzie z jednego punktu wychodzące, ale w dalszym przebiegu coraz bardziej rozchodzące się i oddalające od siebie.

Krótka ta wzmianka wystarczy ci jak na to, byś mógł ocenić, jak dalece różni się Darwin w swych poglądach od Haeckla; jak dalece trzeba być ostrożnym w przyjmowaniu za prawdę tego, co mówią i piszą na rachunek Darwina. Poprzestać na niej musisz dla tego, że zadaniem mojem nie jest wykładać ci teorję Darwinizmu w całem jej zakresie, ale obronić ją od zarzutów, jakie jej robią ze względu na jej następstwa praktyczne.

Dwa są w niej punkta, ściągające na nią najstraszniejsze gromy, dwie są zasady, które umysłom, mniej oswojonym z naukowem rzeczy traktowaniem, przedstawiają się jako źródła najniebezpieczniejszych dla życia następstw. Są niemi walka o byt i zwierzęce pochodzenie człowieka.

Bogobojnym ludziom, wychowanym w pojęciach, które człowieka uznawały za króla wszechstworzenia, za ostateczny cel wszystkiego co tylko istnieje we wszechświecie — i roślin, rozścielających się barwistym kobiercem u jego stóp, i zwierząt, służących mu ku pożywieniu i dopomagających w jego pracy, i gwiazd upiększających mu niebo podczas ciemnej nocy — umysłom tym zdaje się, że pozbawiać człowieka dotychczasowego jego stanowiska, odzierać go z przywileju stanowienia w szeregu stworzeń wyjątkowej istoty, robić go potomkiem zwierząt jestto samo, co spychać go do szeregu zwierząt, co kazać mu żyć trybem, jakim żyją wszystkie zwierzęta, które nie znając moralności, nie wiedząc o wyższych pobudkach działania, kierują się w swem życiu zmysłowemi tylko popędami i grubemi chuciami ciała. Przestrach ich z tego powodu łatwo zrozumiemy, gdy zastanowimy się, czem są dla umysłu uprzedzenia, jak silną mają nad nim władzę pojęcia, do których nawykliśmy od dzieciństwa które skojarzyły się ze wszystkiemi naszemi uczuciami i poglądami na rzecz. Dla tegoteż nie można nawet wymagać dzisiaj od nich, by tak odrazu, pozbywszy się swych uprzedzeń, mogli się zdobyć na tyle rezygnacji, ażeby z zimną krwią zgodzili się na zajęcie stanowiska we wszechświecie, które ich równa z innemi stworzeniami. Oczekując więc cierpliwie, aż się oswoją z tą myślą i pogodzą ze swem przeznaczeniem, możemy z góry ich zapewnić, że przewidywane przez nich następstwa tej niwelacyjnej zasady Darwinizmu bynajmniej nie zagrażają ani moralności, ani społecznemu porządkowi.

Że człowiek był kiedyś zwierzęciem, to

jeszcze nie racja, by nim miał być dzisiaj. Przed tysiącem tysiącami lat był on zwierzęciem, gdy organizm jego znajdował się na nizkiem stopniu rozwoju, gdy jego system nerwowy mógł tylko oddziaływać na grube zmysłowe bodźce, gdy w mózgowiu jego nie ustaliły się drogą doświadczenia i dziedziczności tak liczne kombinacje i związki, jakie są potrzebne do samodzielnego działania myśli, która wznosząc się ponad pojedyńcze fakty, stwarza pojęcia ogólne i robi z nich reguły dla swych czynności; był on nareszcie zwierzęciem, kiedy nie było społecznych związków — ale od czasu jak stał się członkiem społeczeństwa, jak korzysta ze wszystkich darów oświaty, jak stworzył przemysł, ulepszający warunki jego bytu, jak sztukami uszlachetnił życie i złagodził swe obyczaje, jak nauką wzniósł się nad poziom codziennych trosk i zabiegów — od tego czasu przestał on być zwierzęciem, bo stał się istotą rozumną, moralną, bo uległ zupełnej przemianie nie tylko pod względem umysłowym, ale także i pod względem cielesnym. Zbytecznem byłoby obawiać się o przyszłość ludzkości z tego tylko powodu, że człowiek zamiast uważać siebie za dzieło rąk bożych, będzie się zapatrywać na siebie, jako na twór, powstały tym samym porządkiem, co inne stworzenia. Nie przekonanie, schlebiające własnej miłości, próżności, utrzymuje człowieka na stanowisku istoty rozumnej i moralnej; ale warunki życia, w jakich zostaje, społeczne związki, prawne i towarzyskie stosunki, a nareszcie wyrobione w nim potrzeby, tak fizyczne jak i moralne, potrzeby, które potężniejszym są dla niego bodźcem od wspomnienia, że w zamierzchłej przeszłości jego przodkowie wraz z innemi zwierzętami błąkali się po lesie. Nie jest to racja dla wykształconego murzyna zrzekać się wszelkich owoców cywilizacji dla tego tylko, że ojciec i dziad i pradziad jego byli barbarzyńcami, którzy o europejskiej moralności pojęcia żadnego nie mieli, również nie jest racja stawać się człowiekowi dzisiejszemu bydlęciem pod względem moralnym dla tego tylko, że jego przodkowie żyli ongi przed tysiącami lat jak bydlęta.

Z kwestją równouprawnienia zwierząt z człowiekiem w obec aktu stworzenia łączą się jeszcze pewne pytania metafizyczno-religijne dotyczące duszy ludzkiej. O nich atoli nauka nic powiedzieć nie może dla braku danych, ale z drugiej strony nie może także oglądać się na nie i niepokoić, że rezultaty jej nie zupełnie przypadają do miary metafizycznych pojęć lub teologijnych zasad. Nauka ma właściwe sobie zadanie i w spełnianiu go nie może krępować się postronnemi względami; w niej chodzi przedewszystkiem o prawdę, o ile ją wyczytać zdoła w księdze przyrody. Gdzieindziej zaś szukać jej nie może.

Drugim punktem Darwinizmu, ściągającym nań liczne pociski, jest zasada, podniesiona dziś do wysokości powszechnego prawa w życiu przyrody — znana pod imieniem walki o byt.

Kto się wpatrzył bacznem okiem w życie przyrody, kto zastanowił się nad dziejami ludzkości, nietylko w zakresie politycznych wypadków, ale także w sferze społecznych stosunków i towarzyskich zdarzeń — ten nie mógł nie dojrzeć, że prawem, kierującem wszelkiemi wypadkami, regulującem wszelkie stosunki organicznego świata, jest walka o byt; ten musi przyznać, że Darwin, przyznając walce o byt tak wielkie znaczenie, upatrując w niej jeden z najpotężniejszych środków, zapewniających przyrodzie postęp i ciągłe doskonalenie się jej tworów, zrobił to tylko, co mu nakazywała nauka, oparta na faktach sprawdzonych, niezaprzeczalnych i należycie zrozumianych. Obwiniać go więc za to niepodobna i ci, co mu z tego robią zarzut, dowodzą tylko, że jak najfałszywsze mają pojęcie o walce o byt. Walka o byt bynajmniej nie jest, jakto po większej części rozumieją, walką na zęby i pięście. Rozstrzygającą w niej bronią jest każdy przymiot, każda zaleta tak fizyczna, jak moralna i umysłowa, jeżeli tylko zaleta ta zapewnia organizmowi jakąś korzyść w danych warunkach życia. W wiekach barbarzyństwa, kiedy umysł zaledwie zaczął się dźwigać po nad poziom zwierzęcych potrzeb, kiedy związki społeczne opierały się na gwałcie, kiedy zatem siła i zręczność fizyczna zapewniały każdemu największe korzyści, natenczas siła fizyczna i zręczność były decydującą w walce o byt bronią. W wiekach zaś cywilizacji, w których społeczne związki opierają się na prawie, w których poczucie osobistej godności i moralne pobudki kierują postępowaniem jednostek, w których zatem rozum, prawość charakteru, bogactwo i społeczne stanowisko więcej się cenią, niż fizyczna siła, stanowią o zwycięstwie moralne i umysłowe zalety, te mianowicie, które zgodnie z warunkami społecznego bytu najlepiej odpowiadają ogólnym potrzebom, a zatem najkorzystniejszemi są dla jednostek.

Fakt to każdemu wiadomy i nie wymaga wcale, by się nad nim rozwodzono, że w narodzie przeważnie zajmującym się handlem i przemysłem, rozstrzyga w walce o byt bogactwo; że w państwie monarchicznem, opartem na pierwiastku arystokratycznym, wszystkie korzyści społeczne przypadają w udziale rodowym zasługom, które w nich najbardziej się popłacają; że rozum, prawość charakteru, osobista zasługa cenią się nad rodowe zasługi i bogactwa tylko w narodach, które doszły najwyższego stopnia oświaty. Otóż fakt ten jak najwymowniej stwierdza zasadę Darwinizmu, a jednocześnie wskazuje, jak należy pojmować walkę o byt, i w jakim kierunku pracować, ażeby tę walkę uszlachetnić, ażeby podnieść ją po nad walkę na zęby i pięście.

Ulepszenie warunków społecznego bytu, uszlachetnienie jednostki drogą oświaty, wytwarza w społeczeństwie wyższe potrzeby, które zadowolić można tylko uczciwością, nauką, sztuką; podnosi społeczeństwo na ten stopień oświaty, w której najbardziej popłacają rozum, talent i osobista zasługa.

Zamiast więc oburzać się na Darwina za to, że nie ukrył światła pod korcem, lecz ukazał ludzkości nagą prawdę, błogosławić mu należy. Sformułowawszy bowiem główne prawo życia, wskazał nam przez to samo drogę, którą należy nam postępować w celu zapewnienia zwycięstwa temu, co sprzyja rozwojowi oświaty i moralnemu udoskonaleniu.

PARASOL PANA THOMPSON.

przez

K. Dickensa.

— Powinnabyś się dobrze nauczyć „*Marsza Chopina*“, Augusto, pan Thompson lubi bardzo muzykę i sam gra także.

Oh! jakże już byłam znudzoną tym panem Thompson! Moja kochana ciotka miała wprawdzie najlepsze chęci w świecie, ale ani podejrzywała, że wzbudza we mnie niechęć do tych wszystkich panów na ożenieniu, którym według niej powinnam się starać podobać.

Byłam sierotą, a cały mój posag wynosił zaledwie czterdzieści funtów szterlingów rocznego dochodu. Majątek ciotki mieli odziedziczyć krewni z linji bocznej; dlatego bardzo naturalném było jej życzenie, abym poszła za mąż; co do mnie byłam zupełnie przeciwnego zdania. Nie wiem czy to była duma, czy kaprys, ale sama myśl, że ktoś młody czy stary bywa u ciotki jedynie w celu starania się o mnie, czyniła go dla mnie nieznośnym. Dlatego to może niepodobałam się nikomu. Uchodziłam jednakże za ładną; śmiało to mogę dziś powiedzieć, tyle już lat jest temu! Lecz wtedy dwie panien brzydszych odemnie z mniejszym jeszcze posagiem wychodziło za mąż, a ja byłam zawsze Augustą Rajmond, samą i bez wielbicieli. Otóż wcale mnie to nie martwiło. Tak, nic wcale; to mi tylko było przykro, że ciocia nie chciała temu wierzyć i że zawsze miała pośrednio lub bezpośrednio do polecenia mi jakiegoś nowego konkurenta, utrzymując, że to ten właśnie ma mnie uczynić najszczęśliwszą z kobiet.

Dlatego, aby jej dogodzić usiadłam przy fortepianie i zaczęłam grać *Marsza Chopina* na intencję kochanego pana Thompson, jednego z jej krewnych, który był oczekiwany od wczoraj, a który nie domyślał się bynajmniej, biedaczysko, w jakim to celu ciotka zaprosiła go na tydzień do siebie na wieś. Pana Tompson nie widziałam od dziecka. Był to wtedy bardzo młody człowiek, wysoki, brunet, o czole poważnem i już na drodze do majątku.

Dzisiaj pan Thompson, jak się zdaje, jest bogaty, przynajmniej dla tak biednej dziewczyny, jak ja... Ale już musi być nie pierwszej młodości, myślałam sobie, przebierając palcami po klawiszach... Nie, nie i ten mi się nie spodoba jak inni.

Mieszkaliśmy na wsi, w prześlicznej okolicy, w pośród czarującego ogrodu. Najwięcej lubiłam pokój, w którym znajdowałam się tego rana, a gdzieśmy zwykle przesiadywali. Stół umieszczony na środku, zarzucony był książkami: jedne dawne znajome, z innemi niedawno się poznałam; kosze z kwiatami, koszyki do roboty, wygodne fotele, które zdawały się zapraszać do czytania lub marzeń, dodawały mu wiele uroku. Z okien, gdy były otwarte, mogłam widzieć drzewa w ogrodzie i wciągać zapach rezedy, donoszony do mnie lekkim powiewem wiatru. Gdzież jesteście teraz, spokojne schronienie, kochany ogrodzie? Niemiłosierni ludzie zamienili to wszystko na plac publiczny. Odżyć tylko możecie w moich wspomnieniach.

— Kochana Augusto, przedstawiam ci pana Thompson! — usłyszałam za sobą głos ciotki, właśnie gdy zamykałam fortepian. Odwróciłam się i ujrzałam go przed sobą, słuszny, brunet, poważny, bardzo mało się zmienił od dziesięciu lat i wcale nie zestarzał. Spdziewaliśmy się go na obiad, a przybywał na śniadanie, już nie pamiętam wskutek jakiego nieporozumienia. Wchodząc do ogrodu spotkał się z ciotką i oboje stali pod oknem słuchając *Marsza Chopina*.

Nie wiem jak to sobie wytłómaczyć, ale właśnie ten sam pan Thampson, którego niecierpiałam przed chwilą, podobał mi się od pierwszego

wejrzenia. Nie jestem pewna, czyby inne panny mój gust pochwaliły, ale nie był on ani brzydki, ani stary, jakem to sobie grając wyobrażała. Wysoki i smukły, włosy miał czarne jak heban; a uśmiech jego przyjemny nie wyrażał tego zadowolenia z samego się, ale życzliwą szczerość. Jednem słowem, powtarzam, wszystko mi się w nim podobało, z wyjątkiem parasola. Był to jeden z tych parasoli staroświeckiej mody, również wielki jak mocny i tem niewygodniejszy. Gdyby przynajmniej pochmurno było na dworze. Gdyby był go zostawił w przedpokoju, ale nie, on go trzymał w ręku witając się ze mną i przez cały tydzień jego pobytu u ciotki, pan Thompson i parasol byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Później, kiedym się ośmieliła z ponem Thompson, prześladowałam go tym parasolem. „Tak, przyznaję — odpowiedział wesoło — że to mój ulubieniec. Będąc młodym chłopcem, jedynem mojem życzeniem było, mieć parasol. Ten właśnie, jest to najpierwszy, który sobie sprawić mogłem i rozumiem dlaczego sam król francuski, odkąd go rewolucja wprowadziła na tron, często zostawiał berło, aby przejść się z ulubionym parasolem w ręku.

Rozumie się, że śmiejąc się na stronie z tej jedynej oryginalności pana Thompson, bałam się dotykać tego przedmiotu przez pierwszy dzień jakiśmy razem spędzali. Byłoby to złe wywdzięczenie się za jego komplement, przy powitaniu bowiem powiedział mi wprost w oczy, że gram bosko. Bosko! tak powtarzał kilkakrotnie pan Thompson, a pochwała ta pochlebiała mi tembardziej, bo wiedziałam, że mówił co myślał. Inny jeszcze rys oryginalny pana Thompson, lubił mówić głośno chociażby się nawet miał wydawać opryskliwym. Ciotka była tem zachwycona, a ja dumna bym była z tego, gdybym nie czuła, że pan Thompson traktował mnie jak dziecko. Niestety! długo mnie jeszcze uważał za małą dziewczynkę, zanim osmieliłam się dać mu uczuć, że ma błędne wyobrażenie o moim wieku, jak ja miałam o jego.

Pan Thompson nie tydzień, ale miesiąc cały bawił u nas. Ach! jaki szczęśliwy miesiąc wieczorów upiększonych muzyką i pogadankami. Jeżeli przebudzenie było przykre, niech mi przynajmniej będzie wolno przypomnieć sobie, że sen był bardzo słodki.

Ale ten szczęśliwy miesiąc już się skończył. Pan Thompson miał odjechać nazajutrz; znaleźliśmy się sam na sam w ogrodzie. Wiedziałam dobrze, że podoba mi się bardzo, wątpiłam tylko o wzajemności; i gdy odezwał się: „Augusto, mam ci coś powiedzieć“, o jak gwałtownie uderzyło mi serce! Dawniej jeszcze nazywał mnie czasem Augustą, ale nigdy tak słodko nie wymówił tego imienia. Niestety! nie myślałam nigdy o zwierzeniu, jakie pan Thompson raczył mi zrobić. Pan Thompson poznał moją kuzynkę Jessie u Mrs Gray, oświadczył się jej i został przyjęty. Od chwili jak usłyszałam imię Jessie, wiedziałam już o co chodzi. Moja kuzynka mimowoli stawała mi zawsze na drodze do szczęścia. Zajęła moje miejsce w sercu najbliższego naszego krewnego, to jest wuja, a teraz mi odebrała serce jedynego człowieka, którego pokochałam.

Nie mogłam mieć do niej żadnego za to żalu... ale tem bardziej było to dla mnie bolesne. Słowik śpiewał nad naszemi głowami, gwiazdy błyszczały na pogodnym horyzoncie, ogród napełniała woń kwiatów, a pan Thompson, zajęty cały przedmiotem swoich marzeń, unosił się nad Jessie. Ona była tak piękna, tak miła, tak dobra, sympatyczna, tak rozkosznie niewinna! I po co mi to wszystko mówić? Zdrowie ciotki pogorszyło się bardzo od niejakiego czasu, pan Thompson wiedział, że byłam uprzedzona o nieszczęściu jakie lada chwila spotkać mię mogło i dlatego chciał koniecznie dać mi u siebie przytułek. Rozpłakałam się.

— Moje drogie dziecko! — zawołał z uczuciem — gdyby nie wyjazd mój, nigdybym cię nie zasmucał tym przedmiotem... Bądź rozsądna! Wiem, że masz serce kochające i wierne. Ciotka może żyć jeszcze bardzo długo, ale gdyby miało być inaczej.. Jessie i ja...

— Proszę, nie mów pan tego! — przerwałam.

Im więcej mnie chwalił pan Thompson, im więcej okazywał współczucia, tem bardziej czułam się nieszczęśliwą. W końcu ulegając moim prośbom, zostawił mnie samą, uspokoiłam się cokolwiek i wróciłam do pokoju.

— Kochana Augusto, zagraj *Marsza Chopina* — odezwała się ciotka. Poczciwa ciotka i teraz jeszcze żądając tego marsza chciała zachwycać i czarować pana Thompson, bo pan Thompson zawsze, ile razy go grałam, nie omieszkał się unosić nad moją muzyką.

Zagrałam więc. Ale dla mnie był to, jak gdyby odgłos dzwonów żałobny na pogrzebie, wszystkich moich marzeń i nadziei. Zmrok w pokoju nie dozwalał dostrzedz ciotce, ani panu Thompson, że zalewałam się łzami. Gdy skończyłam, pan Thompson usiadł przy mnie przy fortepianie. W tej chwili weszła służąca przyniosła lampę i list do ciotki. Podczas gdy ciotka czytała, pan Thompson rzekł do mnie półgłosem stosując moje słowa do rannej propozycji.

— Pani pomyślisz nad tem, nieprawdaż?

— Na miłość boską, nie mów pan o tem — powiedziałam błagającym tonem.

— Ale pani nie wiesz jak mi jesteś drogą. Zresztą będziesz pani użyteczną mojej małej rozstrzepanej Jessie; ona jeszcze taka dziecinna! Przytem inny mam jeszcze projekt...

Tego już było zanadto. Odgadłam co chciał powiedzieć. Miał brata, któremu mnie przeznaczał. Byłoby to największem szczęściem dla Johna. Już nie mogłam dłużej wytrzymać, wstałam i poszłam do ciotki.

— Jakież nowiny, kochana ciotko? — zapytałam.

— Prawdziwe nowiny — odrzekła zdziwiona. — Jessie idzie za mąż za mego kuzyna, pana Narris, który mógłby być jej ojcem! Ciekawa jestem, co on zrobi z tej małej kokietki.

Ciotka niecierpiała Jessie i dlatego to pan Thompson nie zwierzał się jej ze swoich zamiarów.

Nastała chwila milczenia.

Pan Thompson zbliżył się do ciotki. Nie śmiałam na niego spojrzeć.

— O jakiej Jessie pani mówi? — zapytał. — To zapewno nie jest kuzynka panny Rajmond.

— Ależ tak, ta sama; czy ją pan znasz?

— Widziałem ją u Mrs. Gray.

Mówił to wszystko spokojnie, zdawało mi się, że niedowierzał jeszcze tej wiadomości. Żal mi go było serdecznie.

— Może to nic pewnego, moja ciociu? — zapytałam.

— Sama mi o tem pisze. Oto jej list, masz, przeczytaj Augusto! Spojrzałam na pana Thompson. Blady był jak śmierć, ale spokojny jeszcze, nic nie zdradzało jego wewnętrznego wzruszenia. Ciotka wyszła na chwilę dla wydania jakichś rozkazów, zostawiła nas samych.

— Czy mogę przeczytać Augusto? — pierwszy przemówił pan Thompson wskazując na list, który trzymałam w ręku. Nie mogłam mu tego odmówić. Przeczytał z tym samym spokojem; wziął parasol z kąta salonu. — Chciałbym się przejść trochę — rzekł obojętnie i wyszedł. Zobaczyliśmy go dopiero nazajutrz w chwili wyjazdu.

Ciotka zmartwiła się bardzo, widząc, że pan Thompson nie myślał mi się oświadczać, mnie znów bolało jego zimne pożegnanie. Niestałość Jessie zmniejszyła widocznie moją osobistą wartość w jego oczach, jak gdyby ta wartość była tylko odbiciem doskonałości ubóstwianej istoty. Jessie została wkrótce Mrs. Norris. Ślub odbył się na wsi u ciotki, ze względu na pana Norris, który był jej kuzynem, a który nienawidził Mrs. Gray, tej nieznośnej i swarliwej, jak ją nazywał, baby.

Jessie podczas krótkiego pobytu u nas była bardzo wesoła i jak się zdawało bardzo szczęśliwa. Nielitościwie prześladowała mnie panem Thompson. Utrzymywała, że on z pewnością starał się o mnie, a mówiąc o tem, znacząco na mnie spoglądała. Ale ja nie zdradziłam nigdy ani mojej tajemnicy, ani pana Thompson i często słysząc jak go niemiłosiernie wyśmiewała wobec pana Norris, szczególniej z powodu jego nierozłącznego parasola, jakkolwiek okrutnie tem zadraśnięta, zachowywałam najzupełniejsze milczenie.

— Jestem przekonana, że on biorąc ślub, będzie miał parasol pod pachą — mówiła w wilję swego ślubu. — Jak ci się zdaje?

Nie odpowiedziałam Jessie, Uciekłam cichaczem do ogrodu i dziwiłam się w duszy, jak ona mogła podobać się panu Thompson. Niestety! mogłam i siebie zapytać, jakim sposobem pan Thompson niestarając się o to mnie się podobał.

Małżeństwo Jessie było dotkliwym ciosem dla ciotki, która przekonana była, że ja pierwej pójdę za mąż. Niemniej martwiła się obojętnością pana Thompson, i odgadła może w końcu przyczyny, które spowodowały zmianę w mojem usposobieniu. Zmizerniałam, zbladłam.:. i grałam ciągle *Marsza Chopina.*

— Kochana Augusto — rzekła do mnie — czy muzyka ta nie wydaje ci się zanadto żałobną?

— Lubię to, kochano ciotko — odpowiedziałam, ale od tego czasu postanowiłam nie grywać go więcej.

— Pan Thompson lubił go także — mówiła wzdychając... Ale — dodała niespodzianie — dziwi mię to, dlaczego on ci się nie oświadczył? — Milczałam.

— Wolałabym go była nigdy nie prosić na wieś. Bo zdaje mi się...

— Błagam Cię, droga ciociu, nie mówmy o tem — przerwałam.

Ciotka nie upierała się, ale kazała mi usiąść przy sobie i pieszczotami zmusiła mnie do wyznania całej tajemnicy.

— Biedna Augusto — rzekła gdym się jej ze wszystkiego wyspowiadała — być może że on kiedyś potrafi cię ocenić.

— Nigdy, kochana ciotko; ale nie martw się tem, uspokoję się niedługo.

Mówiłam to wszystko na pozór spokojnie i stanowczo, ciotka mnie pochwaliła.

— Byłaś zawsze najlepszem w świecie

dzieckiem — powiedziała całując mnie czule — i dobrze, że masz do mnie zaufanie. Nie miałam zamiaru wydalać cię tego roku z domu, ale teraz pojedziemy na kilka miesięcy do morza. Potrzebujesz koniecznie zmiany powietrza, moja mała.

Pocałowała mnie i dzisiaj jeszcze przypominam sobie, jak mi to było przyjemnie, gdy siedząc obok ciotki spoglądałam na niebo zasiane gwiazdami. Słowik śpiewał w ogrodzie, tak samo zupełnie jak owego wieczora, gdy zwierzenie pana Thompson rozwiało moje marzenia.

— Tak, koniecznie potrzebujesz zmiany — powtarzała ciotka udając się na spoczynek.

Niestety! zmieniło się moje położenie od dnia następnego. Ciotka kazała czekać na siebie ze śniadaniem, poszłam do jej pokoju i znalazłam ją śpiącą. Ale sen jej był zanadto spokojny, zanadto głęboki! Te oczy, które wczoraj jeszcze patrzyły na mnie z taką czułością i dobrocią, nie miały się już więcej otworzyć, głos, który się dawał słyszeć wtedy tylko, gdy trzeba było chwalić lub błogosławić, zamilkł już był na wieki.

(Dok. nast.)

SZKICE PEDAGOGICZNE

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

III.

Cynizm w naszej młodzieży.

Wyrazy mają swoją historję, jak ludzie. Forma zostaje, ale treść się zmienia.

W piątym wieku przed Chr. cynizm był szkołą filozoficzną, był systemem — dziś jest tylko pewnem usposobieniem umysłu. Wówczas był teorją cnoty jako jedynego dobra w przeciwstawieniu do rozkoszy i użycia jako zła — dziś jest raczej negacją cnoty, naigrywaniem się z jej rzeczywistości.

W jednym tylko punkcie pozostał tem czem był: wyrazem pogardy dla formułek, wierzeń i zwyczajów, obowiązujących większość ludzi, niekrępując się jednak bezwzględnym powrotem do prostoty obyczajów, wyznawawanej przez starożytnych *cyników*. I jeżeli wówczas jako system wyrażał się zwolna w bezcelowe a nawet bezmyślne zaniedbanie powierzchowności i wygód— dziś chętnie chodzi w parze z wyrafinowanym zbytkiem i zniewieściałością.

Tym sposobem w nowszych czasach, cynizm zachował tylko lub przekształcił same ujemne swe cechy — stał się wyrazem lekceważenia i pogardy, rzeczy i zasad czczonych przez ogół, lub nawet nihilistycznem przeczeniem *całej* społecznej tradycji.

Przewagą praktyki nad teorją, dowolnością sądów i wyuzdaniem krytyki różni się on od *skeptycyzmu* filozoficznego; brakiem poezji i moralnych ideałów — od filozoficznego *pessymizmu.* Od obu wreszcie, którym przystoi smutek i powaga, oddziela go śmiech i szyderstwo.

Zdawałoby się, że tego rodzaju nastrój umysłu, usprawiedliwiony tam, gdzie u *dojrzałych* ludzi zawody i boleści życiowe wyziębiły wiarę w lepszą przyszłość, w szczerość uczuć i prawdę cnoty ludzkiej, nie może jednak mieć nic wspólnego z organizmem młodocianym, skłonnym raczej do ślepej wiary i zachwytu — że więc uwzględnianie cynizmu w pedagogice jest rzeczą zbyteczną... Rozumiemy, że taki Antistenes, syn niewolnicy, biedny i wykluczony od wszelkich urzędów, że taki Djogenes, syn fałszerza pieniędzy, wypędzony z miasta rodzinnego, że taki Krates przedrzeźniany i wyśmiewany dla swej ułomności, że taki Menippus w niewolnictwie wzrosły; — mogli się stać *cynikami;* i raczej podziwiamy siłę ich duszy, dla której stali się cynikami w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, pogardzając jedynie bogactwem i czczemi formami — ale, jakimże sposobem, cynikiem, i to cynikiem w najgorszem znaczeniu tego wyrazu, pogardzającym cnotą i miłością, mogłoby się stać dziecko, młodzieniec, który nie zaznał jeszcze trosk życiowych, którego wiary nikt nie nadużył, serca nie zranił, sumienia nie wyśmiał?...

Niestety, ostatnie czasy okazały, że nie tylko tak być może, ale że nawet dziś więcej niż kiedykolwiek powinniśmy myśleć o zapobieżeniu tej zarazie na serca naszej młodzieży: zaczynamy bowiem coraz więcej spotykać wyrostków, których dom zaniedbał a szkoła zepsuła, czternastoletnich malców, którzy zaciągając się papierosem, kupionym u zbyt uprzejmej trafikantki, dowodzą głośno i z pewnem poczuciem wyższości, iż nie ma kobiet uczciwych i że szczęście tylko od pieniędzy zależy.

Musimy uznać ten fakt smutny, jest on bowiem ujemnym wprawdzie, ale naturalnym wynikiem tych prądów dodatnich, które chlubę naszej epoki stanowią.

Podobnie jak na początku tego wieku, dodatni w poezji prąd *romantyzmu,* ożywiający wiarę i tradycje ludowe, wszelkie dążenia idealne, narodowe i ogólnie ludzkie, musiał wyrodzić współcześnie chorobliwy bajronizm i werteryzm, dochodzące nieraz do zaprzeczenia praw cywilizacji — tak dziś, dodatni w nauce kierunek *pozytywizmu,* ustalający pożądaną ścisłość metod i krytykę tradycji, musiał wyrodzić współcześnie w niedojrzałych lub jednostronnych umysłach ów chłód życiowy, ów praktyczny materjalizm, wreszcie cynizm w najgorszej swej formie.

Zupełne odosobnienie podrastającej dopiero młodzieży od ogólnego wpływu zmiennej atmosfery wieku, byłoby niemożebnem do przeprowadzenia; najusilniejszem jednak staraniem pedagoga powinno być takie ugruntowanie wpływu stałych lub prawie niezmiennych zasad moralnych i w ogóle życiowych, a z drugiej strony takie odsunięcie krytyki i osłonienie od wpływów reformatorskich, któreby pozwoliło młodemu organizmowi całkowicie dojrzeć, zmężnieć i moralną siłę charakteru utrwalić. Gdy ten ostatni warunek zostanie spełniony, nie będzie obawy o moralną przyszłość wychowańca. Chociażby zmienił tradycyjne, w domu wszczepione przekonania, *cynikiem* nie zostanie. Będzie umiał szanować i dobrą wiarę i przekonania innych, dlatego właśnie, że sam przeszedł *poważną* walkę uczuć i zasad; będzie szanował cnotę, ponieważ miał matkę cnotliwą i rozumną; nie będzie pieniędzy za cel życia uważał, ponieważ ma niejedną szlachetną namiętność, którą musi zaspakajać, a która pieniędzmi zaspokoić się nie da.

Jeżeli więc w dziecku naszem objawi się dążność do lekceważenia wszystkiego co święte i wielkie, jeżeli przedwcześnie krytykuje imiona narodowej chwały, albo naśmiewa się z entuzjazmu dla idealnej wiary przodków — nie winujmy wpływów obcych a zwłaszcza teoryj samych, ale uderzmy się w piersi, bo nasza i wyłącznie nasza w tem wina. Najprzód dlatego, żeśmy nie umieli zaszczepić uczuć szlachetnych, a powtóre żeśmy zbyt wcześnie niedowarzoną głowę na sprzeczne wpływy wystawili. Słabość tylko i niedołęztwo mogą się zasłaniać teorjami. Nie ma bowiem tak wzniosłej książki, od Biblji zacząwszy, którąby zepsuć nie mogła, jeśli niektóre jej ustępy padną na umysł lekkomyślny, do poważnego myślenia niezdolny — a zarazem nie ma książki tak złej, któraby czegoś, nawet pod względem moralnym nauczyć nie mogła, jeśli ją weźmie do ręki człowiek dojrzały i szlachetnemi uczuciami uzbrojony. Niestety, tego właśnie przygotowania domowego nie znajduje większa część dzieci niezamożnych rodziców, którzy zmuszeni są jak najwcześniej posyłać je do szkoły. Gdzie ta ostatnia zgodnie z duchem domu spełnia pedagogiczne swe zadanie, niebezpieczeństwo jest mniejsze, zależne tylko od towarzystwa starszych chłopców rozpuszczonych i skrzywionych moralnie, ale tam gdzie szkoła nietylko nie idzie ręka w rękę z domem lecz owszem stara się wytępić wiele zasad na łonie rodziny zaszczepionych, gdzie młodzież rozmyślnie uczą pogardy dla tradycyj narodowych, tam obowiązki rodziców podwajają się, i smutne zbiorą owoce ci, którzy tej zarazy nie przeczują i wcześnie jej przeciwdziałać nie będą.

Są jednak pewne słabe strony panującego dziś ducha pedagogicznego, które wszędzie, i w innych społeczeństwach, może nawet więcej niż u nas uczuć się dają.

Ażeby zawrzeć wszystko w jednem słowie, powiedzmy krótko, że młodzież dzisiejsza przestała być *młodzieżą.* Dziecko staje się odrazu człowiekiem dorosłym. Wesołość, swoboda, pustoty i marzenia młodzieńcze, pieśni i miłostki nawet idealne, wszystko to zatraca się zwolna w owym nagłym przeskoku od epoki rozkwitu do epoki owocowania; okres kwitnienia, okres poezji zostaje skrócony do możliwych granic, pod wpływem przyspieszających rozwój pobudek. Dziecko zawcześnie staje się uczniem — uczy się za wiele, czyli co na jedno wychodzi: źle; przejście z klasy do klasy nie otwiera mu nowych widnokręgów, lecz tylko podwaja trudności ilościowe — wreszcie brak granicy naturalnej pomiędzy wykształceniem gimnazjalnem a uniwersyteckiem, wskutek nadmiernego rozszerzenia pierwszego a poniżenia drugiego (mowa tu głównie o stosunkach pod zaborem rosyjskim), sprawia, że młodzieniec, który kończy szkoły średnie lub wstępuje do uniwersytetu, sądzi się być panem dzisiejszej wiedzy, a zestawiając ten balast nauk, którym naładowano jego młody umysł, ze słabem zwykle wykształceniem swoich rodziców — dochodzi machinalnie do owego lekceważenia starszych i przeceniania sił własnych, które ustąpiłoby samo przez się, gdyby więcej *stopni* rzeczywistych czuł za sobą i przed sobą; gdyby go uczono mniej, ale gruntownie i gdyby encyklopedycznym chaosem wiadomości nie przewracano mu w głowie.

W tym braku wyraźnych stopni i w tym nadmiarze powierzchownego z konieczności wykształcenia, spoczywa jedna z przyczyn nienaturalnego nastroju naszej młodzieży.

Inne leżą głębiej — w wychowaniu moralnem i są już nietyle winą szkoły, ile domu.

Wczesny rozwój ostatnich pokoleń wywołał ważną zmianę w stosunkach rodziców do dzieci i rozerwał naturalny między niemi związek.

Słabe wykształcenie większej części rodziców z jednej strony i naturalna trudność zrozumienia pragnień młodzieńczych, gdy się jest przeżytym, z drugiej — stanowiły zawsze tamę dla wytworzenia się owego przyjacielsko-opiekuńczego stosunku, jaki rodzice zachować winni względem dorastających dzieci. Dziś ta trudność i ten rozbrat stały się większe niż kiedykolwiek. Nieumiejętność stopniowego przejścia od władzy zupełnej do usamowolnienia, sprawia że dziecko, rozwinąwszy się, i znalazłszy poza domem odpowiednie ku temu pobudki, zaczyna samo zrzucać z siebie krępujące je więzy i używać swobody, nie nauczywszy się jeszcze rozumnie z niej korzystać. Takie nagłe wysunięcie się z pod władzy, tolerowane jako konieczność, bardzo łatwo prowadzi do wyuzdania, którego umysłową formą jest cynizm.

Gdyby rodzice, śledząc ciągle rozwój dziecka, pamiętali o potrzebie stopniowych zmian w charakterze nadzoru i nie traktowali jako dzieciaka chłopca, który już poczuwa się do praw mężczyzny, ani też nie przyznawali mu ich zbyt wcześnie, puszczając samego w świat na bale i podróże, wówczas nie mielibyśmy w naszej młodzieży tylu okazów patologicznych co dzisiaj.

W pierwszym razie, chłopiec traktowany jako dorastający, czułby pewną dumę i wdzięczność za przyznawane mu prawa, pamiętałby że je zawdzięcza rodzicom i miałby jedną pobudkę więcej do używania tych praw zgodnie z ich życzeniami i nadziejami.

W drugim, nie odgrywałby śmiesznej roli młokosa, który nie wie w jaki sposób okazać swoją pełnoletność i nie doznawałby na sobie zgubnych takiej roli następstw.

Umiejętne więc przejście od władzy zupełnej do częściowej tylko, jak w całem wykształceniu i wychowaniu młodzieży, tak i tutaj, odnośnie do kwestji cynizmu, stanowi warunek zasadniczy. Obudzenie przekonania o względności wiedzy i w nieskończoność idących jej stopniach, a tem samem obudzenie skromności naukowej; wytworzenie upodobań idealnych, które nie dają się zaspokoić pieniędzmi, wreszcie owo stopniowanie w usamowolnieniu dorastających — oto główne środki ochronne przeciw zjawiającej się moralnej chorobie cynizmu.

Zbytecznem byłoby dowodzić, iż tem samem wykluczone być winny wszelkie wpływy wprost przeciwnie działające, a mianowicie książek i ludzi.

Dzieło filozofa materjalisty, mistyka, pesymisty lub sceptyka metafizycznego, dane do ręki młodemu chłopcu, który przywykł książkę pojmować naiwnie jako „podręcznik do nauki", a nie jako wyraz najróżnorodniejszych zaciekań ludzkiej myśli — może w jednej chwili skrzywić cały kierunek wychowania obudzając pogardę i lekceważenie tych przekonań, które w domowem swem otoczeniu znajduje, a z którymi nie powinien być w kolizji, dopóki pod opieką domu zostaje.

Jeżeli zaś silnym może być wpływ książki, to tem bardziej wpływ przykładu. Cynizm życiowy, gdy się go widzi i słyszy, staje się dla żywego i zdolniejszego a choćby tylko zuchwałego umysłu czemś niesłychanie ponętnem i wyższem, nawet wtedy, gdy zrazu niesmak budził. A tak mało jest ludzi dojrzałych, którzy pamiętają, iż nawet *żart* padając na umysł dziecka wrażliwego, może moralną chorobę wywołać!

Rzadko też można zalecać wyrostkom przebywanie stałe w towarzystwie starszych przyjaciół lub przyjaciółek. Każdy wiek ma swoje prawa i swoje obowiązki — a najlepiej spełnimy nasze zadanie wtedy, gdy młodzieńczemu wiekowi przywrócimy jego naturalny charakter: wiosennej epoki kwitnienia.

Jeszcze jedna uwaga.

Powiedziałem, że rzadko towarzystwo starszych kolegów i koleżanek wychodzi na dobre młodym chłopcom i dziewczątkom. Ale inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o młodzież dojrzalszą, i jej stosunek do nauczycieli. Ten powinien być owszem najściślejszym, serdecznym — i jest to właśnie jedną z przyczyn ułatwiających powstanie umysłowych wybryków, gdy profesorowie, jak to często bywa, otaczają się zbytnią powagą i chłodem, powiększając owo odosobnienie, ów rozbrat pomiędzy nauką a sercem!

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XXXII.

Europa patrzała na walkę naszą i rządy nie mogły pozostać w obojętności. Zaczęto rozwijać pokątną dyplomację z księciem Napoleonem, posyłano noty do każdego państwa w sprawie polskiej, trzeba było podnieść jeszcze w pośród przedstawicieli ludów i pomiędzy senatorami. Dawniej udawało się poruszać parlamenty i senaty przynajmniej o tyle, że te gadały o sprawach ludów ujarzmionych. Pamiętał to dobrze komitet franko-polski lepiej nawet niż rząd narodowy, który wolał w lokajskich przedpokojach wysokich dyplomatów wyczekiwać tajemniczych obietnic, by później łudzić walczących nadziejami przyobiecanych pomocy, niźli głośno gadać do narodów zachodu i ich poparcie zyskiwać, nie troszcząc się o gabinety, któreby pod naciskiem opinji zagadały o nas, szczególniej gdybyśmy nie błagali wcale o tę łaskę.

To też komitet franko-polski wniósł 30. października 1863 do senatu petycję o przyznanie nas stroną wojującą. Prawda, że pierwej Anglicy wpadli na ten pomysł; może dlatego żeśmy im się nie kłaniali, więc nie mieli potrzeby dać poznać, że robią nam łaskę. Jednakże gdy w Anglji ministerjalne organa, ba nawet sam *Russel* podobnie przemówili; wtedy w Paryżu podano następną petycję: „Bohaterstwo Polski nie zmęczone i współczucie Francji bynajmniej się nie nuży i wy nie zdziwicie się, iż przychodzimy wyrazić wam nasze życzenia, nasze wymagania na korzyść sprawy polskiej. Już rok prawie jak Polska podtrzymuje walkę, którą Europa miała za niemożebną. Patrjotyzm podnosząc się do stanowiska religji, mógł jedynie zrównać tę walkę rozpaczliwą. To długie doświadczenie przykładem jest dla Europy; wiemy teraz jakie pytanie porusza Polskę wbrew tylu niepowodzeń.

Różne podziały chciały wymazać imię Polski jako narodu; jenerałowie moskiewscy za naszych dni chcą rozwalić Polskę jako społeczeństwo. Dzieło zniszczenia następuje po dziele roz-ćwiartowania.

„Podobne przedsięwzięcie oburzyło sumienie powszechne; rządy i narody powinny się pytać czy nie będzie to złamaniem powagi umów międzynarodowych pozwolić na dokonanie podobnego dzieła. Rządy i narody powinny powiedzieć sobie, że czas jest uwolnić prawo powszechne europejskie od tak oburzającej zbrodni... Powstaje Polska wyzwolona z kontroli umowy 1815 i przez to samo wchodząca w niezależność praw narodowych. Powstaje czyn wszechwładny i narodowy, nie mający przeciwko sobie żadnego oporu." Dlatego to komitet wymagał uznania stroną wojującą. Na adresie podpisani jako francuscy poddani: *Chodźko* i *Wołowski*.

W kilkanaście dni potem (10. grudnia) znowu pisze komitet centralny podobnej treści petycję do ciała prawodawczego.

Miano rozpocząć narady nad adresem, a sprawa polska „w ostatnie czasy najgłębiej poruszała Europę" i z tego powodu mówią: *„Polska spadkobierczyni prawa zapisanego w historji i ugodach*, jak to *sam cesarz przyznał*, upada w bohaterskich wysiłkach dla odzyskania tego świętego prawa. Od roku prawie ona sama jedna utrzymuje walkę rozpaczliwą przeciwko całym siłom potężnego ciemięzcy i każdy dzień *padają nowi męczennicy rzucając ostatnie spojrzenie nadziei na zachód.* Lecz zkądże przyjdzie pomoc, jeżeli nie z Francji? Między wielkiemi państwami Europy jedne są w współce z ciemięztwem, inne zamknięte w sobie, wbrew wszelkim staraniom, w polityce odosobnienia, pozostają głuchemi na krzyki ludzkości i zdają się zgadzać na dokonanie bez zawad najwyższej ofiary. Jedna Francja jednomyślna bez wyjątków stronictw we współczuciu ku Polsce może mocą swego ramienia lub głosu, powstrzymać w czas dopełnienie dzieła zniszczenia niezrównanego w historji narodów cywilizowanych. *Żadna sprawa*, jak powiedziała mowa tronowa, żadna sprawa *nie jest popularniejszą we Francji, od sprawy polskiej.* Do prawnych więc przedstawicieli kraju należy przemówić dziś w jej imieniu." Na tych zasadach i tu się odezwano do przyznania nas stroną wojującą. Lecz dzięki różnym *Tiers*'om i tu powiedziano, że dla żebraków tylko jałmużna się daje; prawdziwa zaś pomoc tylko dla pracowników samodzielnych pozostawiana bywa. Zatem bezpłodne były starania komitetu fr.-pol. na polu politycznem; niemniej przeto zasługują one na uznanie z naszej strony.

Dla szybszego działania na opinję powszechną chciano poruszyć kobiety. W tym celu *Dutrône* sekretarz komitetu pojechał do Anglji ażeby rozpowszechnić*) „gorącą odezwę do królowej i kobiet angielskich, na korzyść nieszczęśliwych Polaków. On pamiętał, że 30 lat pierwej 187.000 kobiet angielskich, szkodzkich i irlandzkich kładąc swe podpisy na adresie podanym królowej zmusiły mężów stanu ogłosić zniesienie niewolnictwa w angielskich kolonjach."

Adres ten do kobiet angielskich *Dutrône*'a, członka dawnego towarzystwa francuskiego zniesienia niewolnictwa, ogłosił w Londynie 4. listopada 1863**). W nim wystawiwszy całą doniosłość adresu o zniesienie niewolnictwa w 1838,

*) M. *Dutrône*. Notice nécrologique... par Bl. *Bourguin* resident honoraire de societé protectrice des animaux. (stron. 6).

**) *Appel aux femmes des trois royaumes unis en faveur de la Pologne.*

Dutrône mówi: „Wiele z tych szanownych 187.000 petycjonerek jeszcze żyje. Inne pozostawiły córki nie wątpliwie godne swych matek i dwa pokolenia współubiegają się, dowodząc na korzyść Polski, że w trzech połączonych królestwach równia uczać szlachetnych, chrześciańskich, ludzkich, cywilizacyjnych nie zniżyła się wcale. Rząd angielski, wdając się w imieniu ludzkości, cywilizacji i religji otrzymał tylko od cara odmowę pogardliwą... Panie, wasza wstydliwość pogwałcona srogo batami wyliczanymi kobietom różnego wieku i stanu za noszenie żałoby po bliskich krewnych, zmarłych bądź w bitwie za ojczyznę, bądź ze starości lub choroby w ognisku domowem, wasza skromność tak sponiewierana, zbawi Polskę.“ A przywodząc z *Morning post* bezeceństwa *Murawjewa* mówi on: „Panie lepiej odemnie znacie drogie polecenie ksiąg świętych: *Kołaczcie a będzie wam otworzono.* A więc kołaczcie do oratorjum waszej czczonej królowej, zanim złożycie w jej ręce potężne, waszą prośbę za Polską 1772. *Kołaczcie* i będzie wam otworzono przez panię, wzór wszelkich kobiet w noszeniu z religijnością żałoby wdowieństwa, przez panią, która pod poważnym kirem, dzieliła cierpienia innych kobiet smaganych i przedstawianych jako wszetecznice, za wypełnienie tego samego obowiązku względem prochów tyle drogich dla rodziny, a tyle czczonych przez naród... *Kołaczcie* więc wedle słów Chrystusa. A przed tysiącami waszych podpisów uroczystego wyrażenia woli brytańskiej, nieufność może i logiczna, ale której zastosowania są opłakane, nie pozwoli waszym ministrom usunąć się od działania wspólnego stanowczego z rządem francuskim. A dobre to przedsięwzięcie zaszczytne dla dwóch naszych krain, zatryumfuje nad Rossją. Bo Anglja i Francja zgodne w poszanowaniu narodowości łatwo będą wstanie przeciwstawić swą wolę reszcie Europy.“

Całego zbliżenia rządów miały dokonać adresy kobiece za Polską do królowej angielskiej.

Wezwanie to drukował *Kurjer Europy* i inne dzienniki. „Wprawdzie mniejsza o to, *że kobiety stałego lądu w tem znajdują przykład, który pomoże im zwyciężyć przesąd do wyjścia z samolubstwa prywatnego życia* i wywołania manifestacji dla najświętszej sprawy, dodaje *Kur. Eur.* Rzeczywiście jednak we Francji daleko prędzej 600 kobiet podobnej treści podało adres do Napoleona III. Przeważnie były to kobiety z ludu i nie miały wielkiego wpływu swem wystąpieniem.

A chociaż w Anglji nie udało się proponowane wystąpienie ogółu kobiet inteligencji, to jednak inicjatywa tego postępku i praca nad wykonaniem pomysłu zostaje zawsze jako zasługa przy komitecie i przy Dutrône.

Niepowodzenia te nie zrażają naszych przyjaciół. Sejm i senat nie uwzględniają wymagań kraju. W Anglji uparcie idzie zbieranie podpisów na adresie, więc komitet franko-polski ogłasza nową odezwę *do przyjaciół Polski, do przyjaciół sprawiedliwości i ludzkości.**) „Polskie powstanie, powiada on, porzucone dotąd przez Europę, za którą ono walczy, wojując prawie bezbronnemi rękami przeciwko masom wojska barbarzyńców, zajmujących wszystkie twierdze, wszystkie miasta Polski, powstanie polskie trwa, *ono trwa zawsze przez cudowne oddanie się bez przykładu i bez granic, przez sprzysiężenie całego narodu, przez dobrowolne zespolenie się wszelkich stanów, warstw i stopni społeczeństwa.* Źródła pomocy w Polsce wyczerpują się z każdym dniem. Wrogowie, co niegdyś zdradą i siłą zburzyli państwo polskie, obecnie prowadzą wojnę nie z ciałem politycznem, ale ze społeczeństwem, własnością, rodziną“.

A wystawiwszy zimną dzikość dziennikarstwa, popierającego kozaków i katów, komitet woła:

„Oręża i odzienia dla bohaterskich oddziałów, co ciągle się odnawiają, ażeby walczyć i umierać! Co nie mogą im dać ich bracia rozprószeni, wygnańce, pędzeni na Sybir, to niech dadzą ich przyjaciele zewnątrz, przyjaciele ludzkości i sprawiedliwości...“ itd. Słowem, wzywa komitet do składek. I były one dość liczne; a używano ich bądź na pomoce dość już licznym wtedy emigrantom z powstania, bądź też oddano agenturze dyplomatycznej paryzkiej, gdzie więzły pokryte kirem tajemniczych rachunków i wzajemnych pokwitowań. (Dok. nast).

*) *Aux amis de la Pologne, aux amis de la justice et de l'humanité.* 15. Grudnia 1863.

Trzy Siostry.

Smętnej dumy słyszę słowa,
Zdala echo pieśń kołyszy.
Witaj nuto bojanowa
Wśród litewskich borów ciszy!

Niech jak tęskna stepów skarga
Dźwięk w zamkniętą pierś uderzy,
Spiącem sercem niech zatarga,
Niech schyloną skroń odświeży.

Ukraińska dumko bratnia,
Jak promieniem słońca błyśnij!
Może lepszy sen się przyśni,
Pieśń zawtórzy ztąd .. ostatnia.

I ty druga pieśni nasza,
Nad kwiecistą wzrosła glebą,
Żywa, raźna pieśni lasza,
Chodź pod chmurne Litwy niebo!

I wy obie w dom mój wnieście
Zapomniane, święte dźwięki
I w wystygłej piersi wskrzeście
Nowy zachwyt dla piosenki!

Chodź ze ściany, liro rdzawa,
Do dum, hymnu i modlitwy
Niech w pieśniarzy kole stawa
Wajdelota starej Litwy!...

Czesław.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy.)

V.

Biała kukułka i dama z pierwszego piętra.

Na placu Saint-Germain-des-Près przy kościele na lewo, tuż koło dachów znajduje się małe okienko, na które nie mogę spojrzeć teraz bez ściśnienia serca. Jest to okienko naszego pokoju; i dzisiaj jeszcze, kiedy przechodzę tamtędy, wyobrażam sobie, że dawniejszy Daniel jest tam na górze, siedzi przy swoim stole koło okna i uśmiecha się z litością, widząc na ulicy dzisiejszego Daniela smutnego i już pochylonego.

Ah! stary zegarze Saint-Germaine, ileż pięknych godzin wybiłeś dla mnie, kiedy mieszkałem tam wysoko z moją matką Jakóbem!... Czy nie mógłbyś dać mi jeszcze kilka podobnych godzin męztwa i młodości? Tak byłem szczęśliwy wówczas! Z taką ochotą pracowałem!...

Rano wstawaliśmy o świcie. Jakób natychmiast brał się do gospodarstwa. Szedł po wodę, zamiatał pokój, porządkował na moim stole. Ja nie miałem prawa dotknąć się do niczego. Jeżeli mówiłem mu: „Jakóbie, chcesz, żebym ci pomógł?“

Jakób zaczynał śmiać się: „Nie myślisz co mówisz, Danielu. A dama z pierwszego piętra?“ Temi słowami zamykał mi usta.

Oto dla czego:

Pierwszych dni naszego wspólnego pożycia, moim obowiązkiem było chodzić po wodę na dziedziniec. W innej godzinie dnia możebym się był nie ośmielił na to, ale rano cały dom spał jeszcze, i próżność moja nie była narażona na to, by ją spotkano z dzbankiem w ręku na schodach. Zaledwiem się obudził i cokolwiek ubrał, natychmiast schodziłem na dół. Na dziedzińcu było jeszcze pusto w tym czasie. Niekiedy masztalerz w czerwonej kurtce czyścił zaprzęgi swoje przy studni. Był to woźnica damy z pierwszego piętra, młodej Kreolki bardzo strojnej, którą mieszkańcy domu tego zajmowali się mocno. Obecność tego człowieka już mię żenowała; kiedy on był tam, wstyd mię ogarniał, pompowałem wodę prędko i z dzbankiem do połowy tylko napełnionym, co prędzej wracałem na górę. Wiedziałem dobrze, że jest to, śmiesznośc, ale pomimo to nazajutrz znowu robiłem to samo, jeżeli spostrzegłem czerwoną kurtkę na dziedzińcu... Otóż, pewnego rana, kiedy szczęśliwie powiodło mi się uniknąć spotkania ze straszną tą kurtką, wesoło i z pełnym dzbanem wchodziłem na schody, kiedy na wysokości pierwszego piętra twarzą w twarz spotkałem się z damą, która schodziła z góry. Była to dama pierwszego piętra...

Prosto i dumnie, z oczami opuszczonemi na książkę, szła powoli, otoczona falą jedwabnej materji. Na pierwszy rzut oka wydała mi się bardzo piękną, chociaż cokolwiek zanadto bladą, z twarzy jej zapamiętałem szczególnie małą, białą bliznę, którą miała w końcie ust, ponad wargami. Przechodząc koło mnie, podniosła oczy. Stałem, przyciskając się do muru, z dzbanem w ręce i czerwony ze wstydu. Tak być zaskoczonym, jak posługacz z wodą, nieuczesany, z nagą szyją, z koszulą na wpół otwartą... jakie upokorzenie! Chciałbym był skryć się pod ziemię... Dama popatrzała wprost na mnie, z miną pobłażliwą królowej, i uśmiechając się z lekka przeszła mimo... Wróciłem wściekły. Opowiedziałem przygodę moją Jakóbowi, który wyśmiewał próżność moją; ale nazajutrz nic nie mówiąc, wziął dzban i sam zeszedł po wodę. Odtąd zawsze to czynił, a ja, pomimo wyrzutów sumienia pozwalałem na to. Nadto obawiałem się powtórnego takiego spotkania.

Skończywszy sprzątać, Jakób szedł do markiza swego, już go nie widziałem aż do wieczora. Dnie całe spędzałem samotnie, sam na sam z muzą, czyli z tem co nazywałem muzą. Od raną

do wieczora okno było otwarte; przed niem stał stolik mój, na którym od rana do wieczora nizałem rymy. Od czasu do czasu wróbel przychodził pić do rynny na dachu; przez chwilę popatrzał na mnie zuchwale, potem szedł opowiadać towarzyszom swoim, co ja robię; słyszałem uderzenia małych łapek ich o dachówki... Dzwony Saint-Germain odwiedzały mię także kilka razy na dzień. Bardzo lubiłem je mieć u siebie. Hałaśliwie wpadały oknem i cały pokój napełniały muzyką. Czasami były to dźwięki wesołe, szalone; czasami ponure uderzenia, których nuty spadały jedna za drugą jak łzy. Miałem także *Anioł pański*: *Anioł pański* południa, był to archanioł w słonecznych szatach, który wchodził do mnie cały jaśniejący światłem; *Anioł pański* wieczorny był to melancholiczny serafin, który spływał na promieniu księżyca, i potrząsając skrzydłami swymi, napełniał wilgocią pokój cały.

Muza, wróble, dzwony, to byli jedyni goście moi; innych nie miałem. Któż miał przychodzić do mnie? Nikt mię nie znał. W restauracji Saint-Benoit starałem się zawsze znaleść miejsce przy małym stoliku, daleko od wszystkich; jadłem prędko, utopiwszy oczy w talerz; po skończonym obiedzie, chwytałem kapelusz i co najrychlej wracałem do domu. Nigdy rozrywki żadnej, nigdy przechadzki; ani muzyki w Luksemburgu nawet.

Tę chorobliwą nieśmiałość, którą wziąłem po pani Eyssette, zwiększało jeszcze zniszczone odzienie i nieszczęśliwe kalosze, których nie było czem zastąpić. Ulica przestraszała mię; wstydziłem się jej. Chciałbym był nigdy nie wychodzić z dzwonnicy mojej. Czasami jednak w piękne wilgotne wieczory paryzkiej wiosny, wracając z restauracji, spotkałem gromady uczniów wesołych; patrząc na nich, jak szli trzymając się pod ręce, w wielkich kapeluszach, z fajkami, kochankami, to mi napędzało do głowy myśli... Prędko wówczas wbiegałem na moje pięć piąter, zapalałem świecę i zajadle brałem się do pracy, dopóki Jakób nie wrócił.

Z wejściem Jakóba, pokój inaczej wyglądał. Pełno w nim było ruchu, wesołości, hałasu. Spiewano, śmiano się; zapytywano o nowiny dnia. „Dobrze pracowałeś? — mówił mi Jakób; — poemat twój posuwa się?“ Potem opowiadał mi o jakim nowym wynalazku swego oryginała markiza, wyjmował z kieszeni jaki przysmak deseru, co go był zostawił dla mnie i cieszył się patrząc, jak go smacznie zajadam. Potem wracałem do rymów moich. Jakób przeszedł się razy parę po pokoju, i kiedy sądził, że na dobre już pogrążyłem się w pracy, wymykał się z mieszkania, mówiąc: „Ponieważ pracujesz, pójdę *tam* na chwilę.“ *Tam*, to znaczyło do Pierrotte'a; a jeżeli nie odgadliście jeszcze, dla czego Jakób tak często chodził *tam* na chwilę, toście bardzo niedomyślni. Ja, zrozumiałem wszystko, od pierwszego dnia, widząc tylko, jak przed wyjściem gładził swe włosy przed zwierciadłem i trzy lub cztery razy przerabiał węzeł u krawatki; ale ażeby go nie żenować, udawałem, że nie domyślam się niczego i śmiałem się tylko w duchu, myśląc o pewnych rzeczach...

Po wyjściu Jakóba, dalejże do rymów! W tym czasie najmniejszy szmer nie przeszkadzał mi już; wróble, dzwony, wszyscy przyjaciele moi spali. Zupełnie sam na sam z muzą... Koło dziewiątej godziny słyszałem, jak ktoś wchodzi po schodach, po małych drewnianych schodach, które stanowiły dalszy ciąg wielkich. Była to panna Biała-Kukułka, która wracała do siebie. Od tej chwili przestawałem pracować. Myśl moja zuchwale emigrowała do sąsiadki i nie ruszała się już ztamtąd... Kto była owa tajemnicza Biała-Kukułka?... Żadnej wiadomości nie mogłem powziąć w tym względzie... Jeżeli mówiłem o niej Jakóbowi, ten ze skrytą miną odpowiadał mi: „Jakto!... nie spotkałeś jeszcze naszej cudnej sąsiadki?“... Ale nigdy nie wdawał się w żadne inne objaśnienia. Ja myśliłem sobie: „Nie chce, abym ją znał... To być musi gryzetka z cyrkułu Łacińskiego.“ I na tę myśl paliło mi się w głowie. Wyobrażałem sobie coś świeżego, młodego, wesołego, gryzetkę, słowem! Samo to szczególne imię Białej-Kukułki miało dla mnie wiele wdzięku; zdawało mi się, że to jest jeden z przydomków miłośnych, jak Musette albo Mimi Pinson. W każdym razie była to jednak bardzo skromna i spokojna Musette; wracała bowiem zawsze o jednej godzinie i zawsze sama. Wiedziałem o tem, bom kilka razy z rzędu śledził ją, przyłożywszy ucho do ściany o godzinie, w której wracała... Oto co słyszałem zawsze: najprzód szmer taki, jak gdyby wyjmowano i układano na powrót korek u butelki, to się powtarzało razy kilka; potem po chwili upadek bardzo ciężkiego ciała na podłogę i prawie jednocześnie cieńki głosik, bardzo piskliwy, głos świerszcza chorego, nucącego jakąś piosenkę o trzech nutach, a tak smutną, że aż się płakać chciało. Były przy tem słowa, ale nie pojmowałem ich znaczenia; parę sylab jednak, chociaż zupełnie niezrozumiałych dla mnie, zapamiętałem: *Tolocototignau!... tolocototignau!...* Powtarzały się one wciąż w pewnych odstępach pieśni, jak gdyby wybitniejsza jej zwrotka. Szczególny ten spiew trwał około godziny, potem na ostatniem *tolocototignau* głos nagle urywał się, i słychać było tylko oddech powolny i ciężki... Wszystko to intrygowało mię mocno.

Jednego rana Jakób, który chodził właśnie po wodę, wszedł szybko do pokoju z bardzo tajemniczą miną, i zbliżając się do mnie — rzekł cicho:

— Jeżeli chcesz widzieć naszą sąsiadkę... cyt!... jest tam.

Jednym skokiem znalazłem się na schodach. Jakób powiedział prawdę... Biała-Kukułka była w swoim pokoju, drzwi były otwarte, i nakoniec ujrzałem ją... Oh! Boże! Było to tylko widzenie, ale jakie widzenie!... Wyobraźcie sobie małą izdebkę pod strychem zupełnie nagą, na ziemi siennik, na kominku butelka z wódką, ponad siennikiem ogromna, tajemnicza podkowa, przybita do ściany jak kropielnica. Teraz w tej budzie wyobraźcie sobie okropną murzynkę z ogromnemi oczyma, z włosami krótkimi, wełnistymi i kędzierzawymi jak runo u czarnej owcy; za całe ubranie miała na sobie wyblakły czerwony kaftan i starą czerwoną krynolinę, nic więcej... Taką mi się pokazała po raz pierwszy moja sąsiadka Biała-Kukułka; Biała-Kukułka moich marzeń, siostra Mimi Pinson i Berncrette... O prowincjo romansowa, niech ci to służy za naukę!...

— A co, — rzekł Jakób, widząc mię powracającego, jak ci się podoba... Nie dokończył frazesu i, patrząc na moją zawiedzioną minę, parsknął ogromnym śmiechem. Ja poszedłem za przykładem jego, i tak obaj śmialiśmy się z całych sił, nie mogąc przemówić słowa do siebie. W tej chwili przez drzwi przymknięte wsunęła się czarna głowa do pokoju i zaraz znikła, powiedziawszy do nas: „Biali śmiać się z murzyn, nie ładnie.“ Naturalnie, że to podbudziło nas do większego śmiechu jeszcze...

Kiedyśmy się trochę uspokoili, Jakób powiedział mi, że murzynka Biała-Kukułka była na służbie u damy pierwszego piętra; w domu posądzano ją trochę o czarnoksięstwo; za podstawę do tego posądzenia służyła podkowa, zawieszona ponad siennikiem. Mówiono także, iż co wieczór, kiedy pani jej nie było w domu, Biała-Kukułka zamykała się w izdebce swojej, piła wódkę aż do utracenia przytomności i do północy spiewała murzyńskie piosnki. To mi wyjaśniło wszystkie tajemnicze odgłosy, które mię dochodziły od sąsiadki: odkorkowywanie butelki, upadek ciała na podłogę i monotonną pieśń o trzech nutach. Co do *tolocototignau*, musi to być jakiś dźwięk naśladowczy, upowszechniony między murzynami Przylądka, coś na kształt naszego *lon, lan, la*; pieśniarze z hebanu wszystkie swe piosenki przeplatają tym dźwiękiem.

Czyż potrzebuję mówić, że od dnia tego sąsiedztwo Białej-Kukułki nie sprawiało mi już żadnego roztargnienia. Wieczorem, kiedy wracała do siebie, serce moje nie biło już tak szybko; nigdy nie przerywałem sobie pracy i nie przykładałem ucha do ściany... Czasami jednak w ciszy nocnej *tolocototignau* dochodziło do stołu mego i, słysząc tę smutną zwrotkę, doznawałem jakiejś niokreślonej przykrości; jak gdybym przeczuwał rolę, jaka miała odegrać w mem życiu...

Tymczasem Jakób znalazł miejsce buchhaltera za pięćdziesiąt franków miesięcznie u małego kupca żelazem, gdzie miał pracować co wieczór, wyszedłszy od markiza. Biedny chłopiec, na wpół zadowolony a na wpół smutny, udzielił mi tej dobrej wiadomości. „A kiedy będziesz chodził *tam?*“ zapytałem go zaraz. „W niedzielę tylko,“ odpowiedział mi z oczami pełnemi łez. I odtąd, tak jak powiedział, chodził *tam* w niedzielę tylko, ale z pewnością kosztowało go to wiele.

Cóż to było to tak ponętne *tam*, do którego serce Jakóba tak mocno przylgnęło?... Chciałbym był poznać je. Na nieszczęście, nigdy nie proponowano mi iść razem, a ja znowu byłem nadto dumny, bym prosił o to. Wreszcie, gdzież mógłbym pójść w kaloszach moich?... Jednej niedzieli jednak w chwili, kiedy wychodził już do Pierrote'ów, Jakób rzekł do mnie z miną trochę zakłopotaną:

— Nie miałbyś ochoty pójść ze mną *tam*, Danielku? Z pewnością zrobiłbyś im wielką przyjemność.

— Ale, mój kochany, żartujesz...

— Tak, wiem dobrze... Salon Pierrott'ea, to nie bardzo stosowne miejsce dla poety...

— Oh! to nie dla tego, Jakóbie; tylko z powodu mego ubrania...

— A prawda! masz słuszność... nie pomyślałem o tem — rzekł Jakób.

I wyszedł jak gdyby zachwycony, że była jakaś prawdziwa przyczyna, dla której nie mógł mię zabrać z sobą.

Ale zaledwie zeszedł ze schodów, natychmiast wrócił do mnie zadyszany.

— Danielu — rzekł mi — jeżelibyś miał trzewiki i stosowne ubranie, czy poszedłbyś ze mną do Pierrotte'a?

— Dla czego nie?

— No! to chodź... kupię wszystko, czego potrzebujesz, a potem pójdziemy *tam*.

Patrzyłem na niego w osłupieniu. „Jest to koniec miesiąca; mam pieniądze“ — dodał, chcąc

mię przekonać. Tak byłem uszczęśliwiony myślą, że dostanę nowe odzienie, iż nie zwróciłem uwagi na wzruszenie Jakóba, ani też na szczególny ton, jakim to mówił. Później dopiero pomyślałem o tem. Teraz rzuciłem się mu tylko na szyję, i poszliśmy do Pierrotte'a, przechodząc przez Palais-Royal, gdzie u tandeciarza w nowe ubrałem się odzienie.

VI.

Historja Pierrotte'a.

Kiedy Pierrotte miał dwadzieścia lat, gdyby mu kto przepowiedział, że kiedyś po panu Lalouette będzie prowadził handel porcelaną, że będzie miał dwieście tysięcy franków u notarjusza swego — Pierrotte, notarjusza! — i pyszny sklep na rogu pasażu Saumon, byłby się wówczas mocno zadziwił.

Pierrotte, dwadzieścia lat mając, nigdy nie był po za obrębem wsi swojej, nosił grube saboty z sosny Seweńskiej, nie umiał ani słowa po francusku i zarabiał sto dukatów rocznie, hodując jedwabniki; dobry kolega zresztą, zapalony tancerz, lubił śmiać się i spiewać, ale zawsze uczciwie i nie przynosząc szkody oberżystom. Jak każdy chłopiec w jego wieku, Pierrotte miał swoją przyjaciółkę, na którą czekał w niedzielę po nieszporach przy wyjściu z kościoła; ztamtąd prowadził ją do gawota pod morwami; przyjaciółka Pierrotte'a nazywała się Roberta, wielka Roberta. Była to piękna dziewucha lat ośmnastu, sierota jak on, uboga jak on, ale umiejąca czytać i pisać, co po wsiach sewenolskich rzadziej jeszcze trafia się jak posag. Bardzo dumny ze swej Roberty, Pierrotte zamierzał ożenić się z nią, jak tylko jego kolej losowania minie; ale dzień stanowczy nadszedł i biedny Sewenol, chociaż trzy razy zanurzył był rękę w święconej wodzie, zanim stanął u urny, wyciągnął numer 4... Trzeba było jechać. Jaka rozpacz!... Szczęściem, pani Eyssette, którą matka Pierrotte'a wykarmiła była i niemal wychowała, przyszła z pomocą swemu mlecznemu bratu i pożyczyła mu dwa tysiące franków na kupienie zastępcy. Łatwo było wówczas o pieniądze u Eyssette'ów. Szczęśliwy Pierrotte nie pojechał zatem i mógł zaślubić Robertę swoję; ale, że poczciwym ludziom chodziło przedewszystkiem o zwrócenie pieniędzy pani Eyssette, a pozostając na wsi, nigdyby byli nie dokazali tego, zdobyli się przeto na odwagę i wyruszyli do Paryża, szukając w nim szczęścia.

Przez rok cały nie było słychać nic o naszych góralach; nareszcie, pewnego rana pani Eyssette otrzymała rozczulający list, podpisany „Pierrotte i jego żona," a w nim 300 franków, pierwsze owoce pracy i oszczędności. Na drugi rok nowy list od „Pierrotte'a i jego żony", przy nim 500 franków. Na trzeci rok, nic. Niepowodziło się zapewne w interesach. W czwartym roku, trzeci list „Pierrotte'a i jego żony" i ostatnie 1200 franków wraz z błogosławieństwami dla całej familji Eyssette'ów. Na nieszczęście, kiedy list ten przyszedł do nas, zrujnowani byliśmy; sprzedano właśnie fabrykę, i my także mieliśmy emigrować... W nieszczęściu swojem pani Eyssette zapomniała odpowiedzieć „Pierrotte'owi i jego żonie," i odtąd nie mieliśmy już żadnych wiadomości od nich, aż dopóki Jakób przybywszy do Paryża, nie spotkał Pierrotte'a — Pierrotte'a bez żony, niestety! — w kantorze dawnego domu Lalouette.

Nic mniej poetycznego, nic bardziej rozczulającego nad historją tych ludzi. Przybywszy do Paryża, żona Pierrotte'a odważnie wzięła się do pracy jako przychodnia sługa. Pierwszym jej domem był właśnie dom Lalouette. Ci Lalouette'owie byli to ludzie skąpi i dziwaczni, którzy nie mieli u siebie ani komissanta ani sługi, bo to trzeba wszystko samemu sobie robić („do pięćdziesięciu lat, panie, szyłem sobie spodnie", powiadał z dumą ojciec Lalouette), i którzy dopiero na starość dopuścili się rażącego zbytku, biorąc posługaczkę za dwanaście franków miesięcznie. Oh! te dwanaście franków, ileż to trzeba było pracować na nie! Sklep, izba za sklepem, apartament na czwartem piętrze, dwa cebrzyki wody do kuchni co rano! Na podobne warunki mógł się zgodzić tylko ten, kto przyszedł z Sewennów; ale ba! Sewennotka była młoda, wesoła, ochocza do pracy i mocnych krzyżów jak młoda jałówka; w mgnieniu oka uwijała się z tą grubą robotą, a w dodatku przez cały czas rozweselała uśmiechem swoim oboje starych; sam ten ładny uśmiech wart był dwunastu franków... Dobrym humorem i dzielnością swą mężna góralka zjednała sobie nareszcie panów swoich. Wzbudziła zajęcie dla siebie; zaczęto rozpytywać ją; nakoniec pewnego dnia niespodzianie, najtwardsze serca zakwitają czasem tą nagłą dobrocią, stary Lalouette ofiarował Pierrotte'owi jako pożyczkę, trochę pieniędzy dla rozpoczęcia coś na własną rękę.

Oto co zrobił Pierrotte: postarał się o konia i karjolkę i począł przebiegać Paryż z jednego końca w drugi, krzycząc: „Pozbądźcie się tego co wam zawadza!" Nasz przebiegły Sewenolczyk nie sprzedawał, ale kupował... co?... wszystko. Garnki potłuczone, stare żelaziwo, papiery, sprzęty, których niepodobna już było używać, a nie opłaciło się sprzedawać, wszystko, co nic nie warte, a co się chowa przez przyzwyczajenie, przez niedbalstwo, dla tego, że nie wiadomo, co z tem robić, wszystko, co bezużytecznie zajmuje miejsce, wszystko co zawadza!... Pierrotte nie pogardzał niczem, kupował wszystko a przynajmniej wszystko przyjmował; bo najczęściej nie sprzedawano mu ale oddawano, pozbywano się. Pozbądźcie się tego co wam zawadza!

W cyrkule Montmartre Sewenolczyk bardzo był znany. Jak wszyscy handlarze wędrowni, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę wśród ulicznego hałasu, przybrał on swój własny a zarazem dziwaczny sposób wykrzykiwania, po którym gospodynie doskonale go poznawały... Najprzód pełną piersią wołał: „Pozbądźcie się tego, co wam zawaaadza!" Potem tonem płaczliwym i wolnym, rozpoczynał długą rozmowę ze swoją szkapą, ze swoją Anastazyją. Chciał powiedzieć Anastazją. „Chodź Anastazjo, chodź moje dziecię..." I dobra Anastazja szła z głową spuszczoną i z miną melacholiczną koło chodników, a ze wszystkich domów wołano: „Pst! Pst! Anastazja!... Karjolka zapełniała się, trzeba było to to widzieć; kidy była już pełna, Anastazja i Pierrotte udawali się na Montmartre i ładunek swój oddawali gałganiarzowi hurtownemu, który gotówką płacił za owe: „pozbądźcie się tego, co wam zawadza," a co dostało się za nic, albo prawie za nic.

Na szczególnym tym handlu Pierrotte nie zrobił majątku, ale zarabiał na życie i to na dobre życie. Zaraz w pierwszym roku oddano pieniądze Lalouette'om i odesłano trzysta franków panience, tak Pierrotte nazywał panią Eyssette, kiedy ta była jeszcze młodą dziewczyną i nie mógł zdecydować się nazywać ją inaczej. Trzeci rok nie był szczęśliwy. Było to w 1830. Naprożno Pierrotte wołał: „Pozbądźcie się, tego co wam zawadza!" Paryżanie, zajęci pozbywaniem się starego króla, który im zawadzał, nie słyszeli wołania Pierrotte'a; naprożno Sewenolczyk wrzeszczał na ulicy; co wieczór mała karyjolka wracała próżna. Na domiar nieszczęścia, Anastazja zdechła. Wtenczas to starzy Lalouette, którzy nie mogli już sami robić wszystkiego, zaproponowali Pierrotte'owi, by przyjął u nich miejsce chłopca sklepowego, Pierrotte zgodził się, ale nie długo sprawował ten skromny swój urząd. Od przybycia do Paryża, żona dawała mu co wieczora lekcje czytania i pisania; po niejakim czasie potrafił już napisać list i mówić po francusku na tyle, że go zrozumiano. Wchodząc do Lalouett'a, podwoił usiłowań, chodził do szkoły dla młodzieży, gdzie uczył się rachunku, i tyle dokazał, że po kilku miesiącach mógł zastąpić przy kantorze pana Lalouette, który prawie zupełnie oślepł, i przy sprzedaży panią Lalouette, której stare nogi nie dopisywały wytrwałej ochocie. Tymczasem, panna Pierrotte przyszła na świat, i odtąd majątek Sewenolczyka wciąż wzrastał. Najprzód miał udział swój w handlu Lalouette'ów, później został wspólnikiem ich, nakoniec, pewnego dnia ojciec Lalouette, zupełnie straciwszy wzrok, usunął się od handlu i odstąpił sklep swój Pierrotte'owi, który go spłacał ratami. Pozostawszy sam, Sewenolczyk tak rozszerzył zakres interesów swoich, że w trzy lata spłacił Lalouette'ów, i wolny od wszelkich długów znalazł się w posiadaniu magazynu pięknego, mającego doskonały odbyt... Właśnie w tym czasie wielka Roberta zachorowała i umarła z wyczerpania sił, jak gdyby czekała tylko chwili, kiedy mąż nie będzie już jej potrzebował.

Oto historja Pierrotte'a jak mi ją opowiedział Jakób owego wieczora, kiedyśmy szli do pasażu Saumon; a że droga była długa, wybraliśmy najdłuższą, dla pokazania Paryżanom mojego nowego ubrania. Poznałem z gruntu Sewenolczyka mojego, zanim jeszcze go ujrzałem. Wiedziałem, że poczciwy Pierrotte ma dwa bóstwa, których tknąć nie wolno było nikomu, swoją córkę i pana Lalouette. Wiedziałem także, iż był trochę gadatliwy i nużący dla słuchaczy, bo mówił powoli, dobierał frazesów i raz wraz przeplatał mowę swoją słowami: „Że tak powiem"... To ostatnie miało swoją przyczynę, Sewenolczyk nigdy nie mógł przyzwyczaić się do języka naszego. Wszystko, co myślał, formułowało się w głowie jego w prowincjonalnym języku Langwedocji, musiał więc, w miarę tego jak mówił, tłumaczyć ten język langwedocki na francuski, i słowa „Że tak powiem..." któremi barwił mowę swoję, dawały mu czas potrzebny do tej umysłowej pracy. Jakób powiadał zawsze, że Pierrotte nie mówi, ale tłumaczy... Co do panny Pierrotte, to tylko dowiedziałem się, że miała lat szesnaście i imię Kamilli, nic więcej; w tym przedmiocie Jakób niemy był jak ryba.

Było już koło godziny dziewiątej, kiedy weszliśmy do dawnego domu Lalouette. Zabierano się do zamknięcia sklepu. Nitable, okiennice, sztaby żelazne, wszystko co służyło do mocnego zamknięcia, leżało na chodniku, przed drzwiami na wpół otwartemi... Gaz był już zgaszony, i cały magazyn w ciemności, wyjąwszy kantoru, na którym stała porcelanowa lampa; światło tej

*

lampy padało na kupki złota i na wielką, czerwoną, śmiejącą się twarz Pierrotte'a. W głębi, w izbie za sklepem ktoś grał na flecie.

— Dzieńdobry, Pierrotte — zawołał Jakób, stając przed kantorem... (Ja stałem obok Jakóba wprost naprzeciw światła lampy)... — Dzieńdobry, Pierrotte.

Pierrotte, który właśnie obliczał kasę, podniósł głowę na głos Jakóba; ale spostrzegłszy mnie, krzyknął, złożył ręce, i, oniemiały z gębą otwartą, patrzał na mnie.

— A co! — rzekł Jakób z miną tryumfującą — nie mówiłem wam?

— Ah! mój Boże, mój Boże! — szeptał poczciwy Pierrotte — zdaje mi się że... Że tak powiem... Zdaje mi się, że patrzę na nią.

— Oczy szczególnie — odrzekł Jakób — popatrzcie na oczy, Pierrotte.

— I podbródek, panie Jakóbie, podbródek z dołkiem — odpowiedział Pierrotte, który chcąc lepiej widzieć, podniósł był zasłonę u lampy.

Ja nie rozumiałem nic. Obydwaj patrzali na mnie, mrugali oczami, dawali sobie znaki... Nagle Pierrotte powstał, wyszedł z zakantoru i z otwartemi ramionami zbliżył się do mnie:

— Pozwólcie, panie Danielu, muszę uścisnąć was. . Że tak powiem... Będzie mi się zdawało, że ściskam panienkę.

Ostatnie to słowo wyjaśniło mi wszystko. W latach, jakie miałem wówczas, bardzo byłem podobny do pani Eyssette, a dla Pierrotte'a, który od dwudziestu pięciu lat nie widział panienki, podobieństwo to jeszcze więcej uderzającem było. Poczciwy człowiek nie mógł się nasycić widokiem moim: wciąż ściskał mi ręce, całował, przypatrywał się i śmiał się i miał oczy łez pełne; potem zaczął mówić o naszej matce, o dwóch tysiącach franków, o swojej Robercie, o swojej Kamilli, o swojej Anastazji, a wszystko to tak rozwlekle, w tylu okresach, że bylibyśmy, że tak powiem, dotychczas stali w sklepie, słuchając go, gdyby Jakób nie przerwał mu tonem zniecierpliwionym: „A kasa, Pierrotte?“

Pierrotte zatrzymał się nagle, zawstydzony trochę, że tak wiele mówił:

— Masz słuszność, panie Jakóbie, gadam; gadam... a mała, że tak powiem będzie mię łajała, że wracam tak późno.

— Czy Kamilla na górze? — zapytał Jakób z miną obojętną.

— Tak... tak, panie Jakóbie... mała na górze... Usycha... Że tak powiem... usycha z chęci poznania pana Daniela. Proszę iść do niej na górę... Ja załatwię się z kasą i zaraz przyjdę także... że tak powiem...

Nie słuchając go dłużej, Jakób wziął mnie pod rękę i prędko pociągnął w głąb magazynu, w stronę gdzie grano na flecie... Magazyn Pierrotte'a był wielki i dobrze zaopatrzony. W pół cieniu widać było połyskujące karafki, opalowe kule, szklanki czeskie o złoto-płowym połysku, wielkie kryształowe kielichy, okrągłe wazy, a na prawo i lewo długie stosy talerzy, wznoszące się aż do sufitu. Jednem słowem, pałac wróżki Porcelany, ujrzany w nocy. W izbie za sklepem gazowa lampa, na wpół zagaszona tylko, czuwała jeszcze ze znudzoną miną wysuwając koniuszek języka swego... Tamże na brzegu kanapy siedział młody człowiek, blondyn, który melancholijnie wygrywał na flecie. Jakób, przechodząc powitał go bardzo suchem „dzień dobry“, na co młody blondyn odpowiedział bardzo sucho także za pomocą fletu — tiu, tiu — musi to być zwykły sposób witania się między nieprzyjaznymi sobie fletami.

— To komisant, rzekł mi Jakób, kiedy znaleźliśmy się na schodach... Morduje nas ten wielki blondyn ciągłem swem graniem na flecie... A ty lubisz flet, Danielu.“

Miałem ochotę spytać go: „A mała lubi ten instrument?“ Ale obawiałem się zrobić mu przykrość i bardzo poważnie odpowiedziałem: „Nie, Jakóbie, nie lubię fletu.“

Mieszkanie Pierrotte'a było na czwartem piętrze, w tym samym co magazyn domu. Panna Kamilla, za wielka arystokratka, by miała pokazywać się w sklepie, zawsze była na górze i z ojcem widywała się tylko w godzinach jedzenia. „Oh! zobaczysz, mówił mi Jakob idąc po schodach, zupełnie tu na stopie wielkiego domu... Kamilla ma osobę do towarzystwa, wdowę, panią Tribon, która zawsze przy niej bawi... Nie wiem, zkąd ona jest ta pani Tribon; ale Pierrotte zna ją i utrzymuje, że jest to dama pełna zalet... Zadzwoń Danielu, to tutaj!“ Zadzwoniłem, Sewenolka w wielkim czepcu otworzyła nam, uśmiechnęła się do Jakóba, jak do stergo znajomego i wprowadziła nas do salonu.

Kiedy weszliśmy, panna Pierrotte siedziała przy fortepianie. Dwie stare panie, dosyć otyłe, i wdowa Tribon, dama wielkich zalet, siedziały w jednym kącie i grały w karty. Kiedyśmy weszli, wszyscy powstali. Nastąpiło chwilowe zamięszanie, potem po przywitaniu i zaprezentowaniu się, Jakób prosił Kamillę, nazywał ją po prostu Kamillą, by wróciła do fortepianu, z czego dama wielkich zalet skorzystała także i zasiadła napowrót do swojej partji z panią Lalonette... Jakób i ja usiedliśmy, jeden z jednej, drugi z drugiej strony panny Pierrotte, która szybko wodząc paluszkami po fortepianie, jednocześnie rozmawiała i śmiała się z nami. Patrzyłem na nią, podczas kiedy mówiła. Nie była ładna. Biała, różowa, miała uszko małe, włos delikatny ale za wiele zdrowia, nadto okrągłe policzki; przytem ręce czerwone i wdzięk trochę sztywny, jak u pensjonarki podczas wakacji. Jednem słowem, była to rodzona córka Pierrotte'a, kwiat górski wyhodowany pod szkłem w pasażu Saumon.

Takie przynajmniej było pierwsze wrażenie moje; ale nagle, kiedym coś przemówił, panna Pierrote, która dotychczas trzymała oczy spuszczone, zwolna podniosła je na mnie i w tej chwili, jakby siłą czarnoksiężką, mała mieszczka znikła. Widziałem już tylko jej oczy, dwoje wielkich, czarnych, błyszczących oczu, które poznałem natychmiast...

O cudu! Były to te same czarne oczy, które tak słodko świeciły mi tam, w zimnych murach starego kolegjum, czarne oczy czarownicy, czarne oczy, słowem... Zdawało mi się, że śnię. Miałem ochotę zawołać: Piękne oczy czarne, czy to wy? Was że to odnajduję w innej twarzy!“ One to były w istocie! Niepodobna było omylić się. Te same rzęsy, ten sam blask, tenże ogień czarny, przyćmiony. Szaleństwem byłoby myśleć, że takich oczu mogą być dwie pary na świecie! Zresztą najlepszym dowodem, że były to te same czarne oczy, a nie żadne inne, po dobne tylko do nich, było to, że i one także poznały mnie i zapewne bylibyśmy rozpoczęli jedną z naszych ładnych rozmów, niemych jak dawniej, gdybym w tej chwili nie usłyszał blisko siebie, tuż koło ucha, szmer zębów, jak gdyby myszy gryzącej. Odwróciłem głowę i spostrzegłem w rogu fortepianu, w fotelu siedzącą osobę, której dotąd nie zauważałem był... Był to wysoki starzec, suchy i blady, z głową ptasią, czołem pomykającem w tył, śpiczastym nosem i dwoma okrągłemi, martwemi oczyma, które siedziały gdzieś daleko od nosa, prawie na skroniach... Gdyby nie kawałek cukru, co go trzymał w ręku i od czasu do czasu dzióbał, możnaby było sądzić, że spi. Trochę zmięszany tem zjawiskiem, oddałem staremu widmu głęboki ukłon, na który nie otrzymałem żadnej odpowiedzi... „Nie widział cię, rzekł mi Jakób... Ślepy jest... to ojciec Lalouette...“

Bardzo stosowne dla niego nazwisko, pomyślałem sobie. I żeby nie widzieć więcej szkaradnego starca z ptasią głową, prędko zwróciłem się w stronę czarnych oczu, ale niestety! zniknął urok, czarnych oczu nie było już. Zamiast nich ujrzałem znowu mieszczkę, sztywnie siedzącą na taburecie przed fortepianem...

W tej chwili drzwi salonu otwarły się i pan Pierotte wszedł hałaśliwie, a za nim fletnista z fletnią swoją pod pachą. Jakób spojrzał na niego wzrokiem tak piorunującym, że mógłby był powalić nim bawoła, ale musiał go chybić, bo fletnista ani drgnął.

— A co maleńka — rzekł Sewenolczyk, całując córkę w twarz — zadowolona jesteś? przyprowadzono ci nareszcie tego twego Daniela... Jakże go znajdujesz? Ładny, nieprawdaż? Że tak powiem... istny portret panienki. — Tu poczciwy Pierrotte na nowo rozpoczyna scenę, którą wyprawił mi był w magazynie; gwałtem ciągnie mię na środek salonu, ażeby wszyscy mogli oglądać oczy panienki, nos panienki, podbródek z dołkiem panienki... Ta wystawa osoby mojej mocno mię żenowała. Pani Lalouette i dama wielkich zalet przerwały grę swoją i leżąc w fotelach, przypatrywały mi się z najzimniejszą krwią krytykując albo chwaląc głośno ten lub ów kawałek postaci mojej, zupełnie tak, jak gdybym był tuczonem kurczęciem, wystawionem na sprzedaż na rynku. Między nami mówiąc, dama wielkich zalet zdawała się bardzo dobrze znać na młodem ptactwie.

Szczęściem, Jakób położył koniec męczarni mojej, prosząc pannę Pierrotte, by zagrała cokolwiek. „Tak, tak zagrajmy cokolwiek“, żywo przemówił fletnista i posunął się naprzód z fletem w ręku. Na to Jakób zawołał: „Nie... nie.., nie duet, bez fletu“. Jasno-niebieskie oczy fletnisty rzuciły na Jakóba spojrzenie jadowite, jak strzała Karaiba, ale ten nie wzruszył się tem wcale i wciąż wołał: „Bez fletu...“ Nareszcie zwyciężył przeciwnika i panna Pierrotte zagrała nam bez fletu jedno z tych trémolo tak dobrze znanych, które nazywają *Reveries de Roselleu*... Podczas kiedy ona grała, Pierrote płakał z podziwu, Jakób był w zachwyceniu; milcząc, ale z fletem w ustach, fletnista wybijał takt ramionami i w myśli przygrywał na flecie.

Skończywszy grać, panna Pierrotte zwróciła się do mnie: „A pan, panie Danielu — rzekła, spuszczając oczy, — czy nie dasz się słyszeć także?... Jesteś pan poetą, wiem o tem“.

„I dobrym poetą“, rzekł Jakób, ten gadatliwy Jakób... Co do mnie, myśl wypowiadania wierszy przed wszystkimi tymi amalekitami nie uśmiechała mi się wcale. Gdybyż jeszcze oczy czarne były między nimi; ale nie! od godziny oczy czarne zgasły i napróżno upatrywałem ich do koła... Trzeba było widzieć, jak swobodnie i lekko odpowiedziałem młodej Pierrotte: „Proszę mi wybaczyć na dzisiaj, pani, nie przyniosłem z sobą liry mojej.“

— Nie zapomnij pan przynieść ją na przyszły raz — rzekł mi poczciwy Pierrotte, który przenośnię tę dosłownie zrozumiał. Biedaczysko szczerze uwierzył temu, że miałem lirę i grałem na niej jak jego komisant na flecie... Ah! Jakób uprzedził mię, że znajdę się w dziwnym świecie!

Około jedenastej podano herbatę. Panna Pierrotte przesuwała się po salonie, podając cukier, nalewając mleko z uśmiechem na ustach i paluszkiem w powietrzu. I znowu ujrzałem czarne oczy. Nagle ukazały mi się na nowo, świecące i sympatyczne, potem znowu zgasły, zanim mogłem przemówić do nich... Wtenczas to spostrzegłem, że w pannie Pierrotte były dwie zupełnie różne istoty: najprzód, panna Pierrotte, mała mieszczanka z gładkimi warkoczami, stworzona do panowania nad domem Lalouette; a później oczy czarne, te wielkie poetyczne oczy, które otwierały się jak dwa kwiaty aksamitne i samem ukazaniem się swojem, przeobrażały śmieszny ten dom kupczyka. Za nic w świecie nie chciałbym panny Pierrotte; ale oczy czarne... oh! czarne oczy!...

Nakoniec godzina wyjścia nadeszła. Pani Lalouette dała do niego sygnał. Obwinęła męża swego w wielki szal i wyniosła go pod pachą jak starą mumię w opaskach. Za nimi Pierrote zatrzymał nas długo jeszcze na schodach, rozprawiając bez końca: „Tak panie Danielu, teraz kiedy poznaliśmy się, spodziewam się, że będziemy się widywali często. Niewiele osób bywa u nas, ale ci co bywają, należą do wyborowego towarzystwa... że tak powiem... Najprzód, pan i pani Lalouette; później, pani Tribon, dama największych zalet, z tą będziesz mógł rozmawiać; dalej mój komisant, dobry chłopiec, który grywa nam czasem na flecie... że tak powiem... Będziecie z sobą układali dueta. Slicznie to będzie."

Nieśmiało odpowiedziałem na to, że bardzo jestem zajęty, i że może nie będę mógł tak często jakbym chciał przychodzić.

To go rozśmieszyło: „A to dobre! zajęty, panie Danielu... wiem ja dobrze, jakie to są zajęcia panów, w cyrkule łacińskim... że tak powiem... musi tam być gryzetka jakaś...

— W istocie — rzekł Jakób, śmiejąc się także — pannie Białej-Kukułce... nie brak wdzięków.

Imię to Białej-Kukułki jeszcze bardziej rozweseliło Pierrotte'a.

— Jak pan mówisz, panie Jakóbie... Biała-Kukułka? Nazywa się Biała-Kukułka... Cha! cha! cha! a to mi chwat... w tym wieku. — Tu zatrzymał się nagle, spostrzegłszy że córka go słucha, ale byliśmy już na dole, a jeszcze słyszeliśmy gruby śmiech jego...

— A co? jakże ich znajdujesz? — rzekł mi Jakób, jak tylko ujrzeliśmy się na ulicy.

— Mój drogi, pan Lalouette jest bardzo brzydki, ale panna Pierrotte śliczna.

— Nieprawdaż? — zawołał biedny zakochany z taką żywością, że nie mogłem wstrzymać się od śmiechu.

No, Jakóbie, zdradziłeś się — rzekłem, biorąc go za rękę.

Tego wieczora długo bardzo przechadzaliśmy się po wybrzeżach. U stóp naszych rzeka spokojna i czarna toczyła jak gdyby perły tysiące małych gwiazdek. Liny wielkich statków skrzypiały. Przyjemnie było iść powoli w półzmroku i słuchać miłośnych zwierzeń Jakóba... Kochał z całej duszy; ale nie był kochany, wiedział dobrze, iż go nie kochano.

— W takim razie, Jakóbie, trzeba przypuszczać, że kocha kogoś innego.

— Nie, Danielu, nie sądzę, ażeby do dzisiejszego wieczora miała kochać kogo.

— Do dzisiejszego wieczora, Jakóbie, co chcesz przez to powiedzieć?

— Co! to że wszyscy cię kochają, Danielu... i ona także mogłaby cię pokochać.

Biedny Jakób! Z jakim smutnym zrezygnowanym wyrazem mówił to. Ja chcąc go uspokoić zacząłem śmiać się głośno, głośniej nawet jak chciałem. „Do licha! mój kochany, jak to u ciebie idzie prędko... Czy to ja mam być tak powabny, czy panna Pierrotte tak zapalająca się?... Ale nie, uspokój, się Jakóbie. Panna Pierrotte jest tak obojętną dla serca mego, jak moja osoba jest obojętną dla panny Pierrote; nie mnie to potrzebujesz obawiać się, bądź tego pewny".

Mówiąc to byłem szczery. Panna Pierrotte nie istniała dla mnie... Czarne oczy naprzykład, to co innego. (C. d. n).

Kronika tygodniowa.

Cała powódź feljetonowych sprawozdań z występów pani Modrzejewskiej. Na porządku dziennym rozmów Adrjenna, Barbara, Dalila. Teatr, o którym tak zawzięcie milczano, pełny, kasa pełna, dzienniki ożywione artystycznemi krytykami.

Wielka artystka zdołała rozbudzić na nowo uśpione zamiłowanie do teatru; ślad tego i po odjeździe pozostanie. Wielka sztuka zajmie (oby tak było) napowrót przynależne sobie miejsce, a publiczność w wyborze ulubionych dzieł zmieni może nieco swe usposobienie.

Podróże wielkie uczą — mamy tego najjaśniejszy dowód na pani Modrzejewskiej. Zasoby jej artystyczne spotężniały, gra stała się dobitniejszą, postacie przez nią odtworzone zarysowują się w pewniejszych konturach a głos nabrał tragicznej mocy.

O grze samej w szczegółach nie widzimy potrzeby rozpisywać się; wyliczanie jej zalet byłoby powtórzeniem ciągłem superlatywów, które spotykają naszą artystkę po jej powrocie z dalekich krajów. Dość powiedzieć, że bez zaprzeczenia jej się należy pierwsze miejsce między artystami sceny polskiej.

Dotąd widzieliśmy ją w dramatach, niedługo zobaczymy w całym szeregu komedji, które repertoar zapowiada. Tam i dawniej była ona niezrównaną, jaką jest teraz — zobaczymy.

Po odjeździe pani Modrzejewskiej, przyjdzie nowy magnes przyciągający. Ukażą się nowiny dramatyczne. Bliziński już, już kończy nową wielką komedję, Zaleski przysyła „Panią Podkomorzynę"; komedja konkursowa „Zabiegi", zabroniona przez policją, ma być wystawioną po dokonaniu zmian pewnych, autor „Niewinnych" przysłał dramat jednoaktowy „Helvią", Litwos, którego sympatyczny talent znany jest dobrze czytelnikom „Tygodnia", komedją „Cicha woda", a w operze występować mają p. Cieślewski i pani Dowiakowska. Dosyć ruchu na cały sezon zimowy.

* * *

Kilka smutnych wypadków śmierci mamy do zanotowania. We Lwowie umarł dr, Rudolf Günsberg, profesor technologji chemicznej w Szkole politechnicznej. Śmierć przyniosła mu prawdziwą pociechę i ulgę w cierpieniach, trwających już od dłuższego czasu i które z dniem każdym się wzmagały. Zmarły urodził się w Galicji w Podkamieńcu w r. 1823. Po odbyciu pierwszych studjów w Szkole Politechnicznej wiedeńskiej udał się do Hamburga, gdzie był asystentem chemii przy gimnazjum akademickiem. Ztamtąd przeniósł się do Lwowa na asystenta i tu już do końca życia, od r. 1857, pozostał. Po latach paru dano mu miejsce supplenta przy technologji chemicznej, a następnie przy reorganizacji Akademji technicznej mianowano profesorem. Umysł zmarłego bystry i żywy, wrodzona ruchliwość, popychały go ciągle do zajęć praktycznych, którym się też ubocznie, obok wykładów w szkole Politechnicznej oddawał. Specjalnością ś. p. Günsberga było gorzelnictwo i w tej gałęzi najwięcej on zdziałał. Utworzył i przez wiele lat własną energją podtrzymywał szkołę gorzelniczą, a w ostatnim roku przed śmiercią, wydał po polsku podręcznik do fabrykacji spirytusu. Koledzy i uczniowie odnieśli jego zwłoki w poniedziałek na cmentarz Łyczakowski.

W Lublinie zmarł w 79 roku życia Jan Baranowski, b. dyrektor obserwatorjum astronomicznego w Warszawie, tłumacz dzieł Kopernika, Humboldta i innych, profesor Szkoły głównej. Pod koniec życia oślepły, zamieszkał w Lublinie.

Jednocześnie dochodzi nas wiadomość o śmierci Karola Forstera, któregośmy tak niedawno jeszcze tu we Lwowie oglądali, a który teraz przeniósł się do wieczności. Żołnierz z 1831 r., po rozpaczliwej walce wyszedł na emigracją i tu zmienił oręż na pióro. Zbierał materjały i pisał historją powstania listopadowego, wydawał dzieła dla ludu i niezmordowanym, przez lat blisko pięćdziesiąt, był na tem polu pracownikiem. Danem mu było, aby przed śmiercią mógł oglądać ostatnie wielkie święto w Krakowie. Zostawia ogólny żal rodaków po sobie.

* * *

W żadnej prasie spotkać nie można tak gwałtownych przewrotów, tak szybkich zmian frontu, jak w prasie rossyjskiej.

Dziś schlebiać Niemcom, jutro rzucać im najgorsze obelgi, być przyjaciółmi Rumunów dzisiaj, jutro obdzierać z nich skórę, są to zadania jak najłatwiejsze do przeprowadzenia.

Dekoracja zmienia się za pogwizdnięciem. Jedne kulisy windują się do góry i z ponurego lasu mamy na raz przed sobą piękne miasto...

Z jednymi tylko Polakami prasa rossyjska była konsekwentną aż do nikczemności; kłamała wczoraj, kłamie dziś, jutro, i trwało tak całe lat dziesiątki. Rzucano ztamtąd błotem, którego zapasów nie brakło, denuncjowano... Tak—prasa odgrywała rolę policjanta. Przypomnijmy tylko to, co *Golos* pisał w czasie wojny tureckiej o urzędnikach kolejowych Polakach...

Jeszcze przed miesiącem Jubileusz Kraszewskiego wywoływał wściekłe okrzyki przeciw Polakom, które doszły w dziecinnej swej złości, aż do głupstw takich, jak owe słynne twierdzenie *Sankt Pietierburskich Wiedomostiej*, że wszystko co Polska w literaturze i nauce ma dobrego, z Rosji pochodzi: Rey, Syrokomla, Mickiewicz, Ujejski i mnóstwo innych ogłoszeni zostali Moskalami.

Dziś, o dziwo! zwrot na wszystkich punktach. Te same *Wiedomosti* apoteozują uroczystości krakowskie, i między innemi znajdujemy tam ustęp taki: „Była to demonstracja wolności obywatelskiej, jakiej dziś używają wszystkie narody pod berłem Austrji, demonstracja przy której nie była potrzebną obecność ani jednego urzędnika policyjnego austrjackiego, ani jednego żołnierza, ani jednego żandarma, w której porządku pilnowała młodzież uniwersytecka i szkolna z pomocą straży ochotniczej, a przecież ten porządek ani na chwilę nie był zamącony przez nikogo. To oczywiście demonstracja wielka i wymowna, bo dowodząca, do czego można dojść łagodnemi i postępowemi rządami, do jakiego stopnia bezpieczeństwa i spokoju!...“

Brzmi to w ustach Wiedomostiej jak senne majaczenie.

A *Gołos* zajmujący się zwykle denuncjacjami tym razem z emfazą twierdzi iż Rosjanie powinni podać braterską dłoń Polakom. „Przez całe wieki byliśmy wzajemnie wrogami — walczyliśmy przeciw Polakom; przez ostatnie lat kilkadziesiąt żyliśmy bez nich: nastała chwila, w której iść trzeba z nimi razem. Wymaga tego tak samo nasz rozwój wewnątrz. Szczere pogodzenie się z Polakami w Rosji — nietylko na słowach, ale i w czynie — da nam takich sprzymierzeńców w Germanji i Austrji, że żaden choćby bismarkowski austrjacko-niemiecki sojusz nie będzie dla nas strasznym...“

O chorągiewko na ruchomej osi! Jaki cię wicher gwałtowny obrócił w nową a zapomnianą stronę. Boreasz to? czy zefir południowy, albo li też wiatr puszczony przez sojusz prusko austrjacki! *Cherchez le... vent.*

* * *

Przyczynek do historji cywilizacji. Spór, który się toczy między Niemcami a Rosjanami, zaczyna przybierać dziwną formę. Policzek idzie za policzkiem. Zarzucają sobie wzajemnie zdradę, oszustwo, barbarzyństwo i najrozmaitsze niecnoty innego rodzaju.

Zawiść zaszła tak dalęko, iż nie przebierają wcale w obelgach. W tym kierunku pierwszeństwo przyznać należy elementowi rosyjskiemu. Posłuchajcie:

W fejletonie St. Petersb. Wiedomostiej, autor, opisując charakterystyczne strony niemieckich kobiet, tak się o nich wyraża: „Niemka jest czemś pośredniem między kobietą a samicą zwierząt ssących. Nie ma u nich nic *kociego*, zgrabności, gracji, żywości charakteru, lecz natomiast (w mniejszym lub większym stopniu), znać w nich coś *kroniego*. Jakaś niezdarność, ociężałość, niezgrabność, senność. I to tkwi do takiego stopnia w ich krwi, tak jest upartem, że te z nich, które czują nienaturalny pociąg wzlatywania wyżej, przypominają w większej części wypadków skaczące krowy z wiankami róż na głowie“.

Prawdziwe cacko wytworności — styl... *cuir de Russie!*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** W Samborze nakładem i staraniem p. G. Kohna, wychodzi od lat kilku wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie, którego świeżo opuścił prasę rocznik III. Rocznik ten obejmuje kilkadziesiąt prac różnych autorów, prozą i wierszem, między któremi odznaczają się: artykuł p. A. Gilera pn. „Przechadzki w okolicach Irkucka“, oraz poezje Izy i p. G. Kohna. Inne za to artykuły i poezje po większej części słabe. Nie zmniejsza to jednak zupełnie zasługi p. Kohna, który walczy z mnóstwem trudności połączonych zwykle z podobnem wydawnictwem, dorzuca z jednej strony cegiełkę do gmachu oświaty, a z drugiej ociera łzy biednym, gdyż książka jego cudownym sposobem w każdym roku jaki taki dochód przynosi.

*** Kazimierz Zalewski wykończa komedję konkursową w pięciu aktach pt. „Pani podkomorzyna“, rozwiniętą na tle barwnem i zręcznie wyzyskanem.

*** W „Kronice Rodzinnej“ zamieszczone zostało opowiadanie pod tytułem: „Ślubna suknia babuni“, przez autorkę, ukrywającą się pod literami M...a, znaną z kilku udatnych utworów poetyckich.

*** Staraniem i nakładem stowarzyszenia do wydawnictwa dzieł lekarskich w Krakowie wyszły dwie wyczerpujące prace: „Choroby serca i tętnic“ przez dr. Oskara Widmana i „Psychopathologia forensis czyli nauka o chorobach umysłowych w zastosowaniu do sądownictwa, a w szczególności do praw obowiązujących w Królestwie Polskiem i Galicji“ przez dra A. Rothego.

*** Drukarnia Anczyca i Sp. w Krakowie gotuje nową edycję dzieł Fredry (ojca) w trzynastu tomach.

*** „Rudin“ znakomita powieść Iwana Turgieniewa, przełożoną została na język polski dla jednego z czasopism perjodycznych.

*** Świeżo ukazała się z druku w Stuttgardzie książeczka w języku niemieckim, napisana przez panię Elizę Schack von Igar, pt. „Piramidy i góra Oliwna“.

Podróżniczka, o ile się zdaje, w Petersburgu zamieszkała, zatrzymawszy się w przejeździe do Egiptu i Jerozolimy na parę dni w Warszawie, wspomina przelotnie o pięknym moście na Wiśle, o zamku, o teatrze, chwali Nowy-Świat, park i pałac Łazienkowski, któremu daje nazwę „Ladżanka“.

W końcu przechadzka po Saskim ogrodzie tanie nastręcza jej postrzeżenia:

„Zauważyłam, że damy tutujsze chętnie udzielają sobie pocałunki i te z szczególnym wdziękiem bez żenady, nawet na ulicach wzajem sobie aplikują.

„W ogóle Polki muszą znajdować wiele przyjemności w tym objawie przyjaźni, co niezbyt harmonizuje z naszemi północnemi pojęciami.

„Widziałam np. na dworcu kolei warszawskiej dwie młode damy wyższego towarzystwa, które przy pożegnaniu, w ciągu pięciu minut, dwadzieścia razy się pocałowały!

„Lecz co kraj, to obyczaj“.

*** P. Alfons Royer, uczony francuski, wydał świeżo wielkie dwutomowe dzieło: „Histoire du Théatre contemporain“.

Zajrzeliśmy naturalnie, co francuski erudyt powie o naszej literaturze dramatycznej, i — znaleźliśmy istotnie cały jeden rozdział jej poświęcony.

Przerosłoby to zadanie tej wzmianki, gdybyśmy chcieli wykazać całą dorywczość, chaotyczność i ignorancję przedmiotu, której uczony historyk teatru europejskiego złożył dowody w swem pomnikowem dziele.

O istotnym stanie rzeczy można z książki p. Royer dowiedzieć się tyle, co z książki kucharskiej o metafizyce.

Uczynimy tylko przegląd nazwisk koryfeuszów naszej literatury dramatycznej w formie, którą podał na swych gruntownych kartach historycznych pan Royer.

Według niego twórcami dramatu polskiego byli: „Osirewski“, „Krapiński“ i „Koneurowski“.

Z dzieł „Koneurowskiego“, w którym zapewne szczupła tylko cząstka naszych czytelników domyśliła się Korzeniowskiego, zna i rozbiera autor: „Mnicha“ i „Andrzeja Batorego“.

Nie zapomina on także o zasługach dla teatru „najpłodniejszego z pisarzów polskich“, którego uparcie nazywa „panem Kruszewskim“.

Ze współczesnych autorów dramatycznych wymienia p. R. „Checiuskiego“, „Drzewuka (!?!)“ i „Kaziobrodzkiego“, rozbierając pobieżnie niektóre ich dzieła.

Za pośrednictwem erudycji tego historyka byłby też i p. Tatarkiewicz przeszedł do potomności, gdyby go p. Royer nie nazwał Tahorkiewiczem.

*** Do „All Wien. med. Zeitung donoszą z Monachjum, iż na pierwszem powakacyjnem posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego w Monachjum prof. Rüdinger okazał naśladowany wzór ciała ludzkiego, złożony z ośmiu przekrojów prostopadłych, które można składać i rozkładać jak kartki w książce.

Te 16 a względnie 14 przekrojów ciała przedstawiają jak najdokładniej, gdy są otwarte, w naturalnym kształcie i naturalnej barwie wszystkie anatomiczne szczegóły od głowy aż do pośladników.

Pojedyńcze te warstwy zostały odlane z ciała w zamrożonym stanie przez zręcznych młodych artystów braci Zeillerów pod kierunkiem prof. Rüdingera.

Bardzo ciekawy przedstawia się obraz, gdy pojedyncze te części stojącego na podstawie ciała otwieramy lub zamykamy.

Lepszy obraz uzmysławiający dla nauki klinicznej trudno sobie wyobrazić, prof. Ziemssen nazwał go też europejskiem *unicum*.

*** Królewska Akademia Umiejętności w Berlinie, a w szczególności jej wydział fizyczny, ogłosiła następujące zadanie konkursowe: Według elektrodynamicznej teorji Faradaya, powstawanie i znikanie dielektrycznej polaryzacji w środkach izolujących jak i w przestrzeniach niebieskich należą do zjawisk posiadających efekt elektrodynamiczny prądów elektrycznych i które mogą być wywołane, jak te ostatnie, przez indukcją. Akademia życzy decydujących doświadczalnych dowodów istnienia skutków elektrodynamicznych przy pojawiającej się i niknącej dielektrycznej polaryzacji, albo też wywoływanie polaryzacji dielektrycznej w środkach izolujących za pomocą siły elektrobodźczej, wywołanej magnetycznie albo elektrodynamicznie. Termin konkursu 1 marzec 1882.

*** Temperatura średnia bieżącego lata jest bardzo niską. Gdy od r. 1873 do 1878 średnia temperatura czerwca wynosiła 18°9 Celzjusza a 21°0 w pierwszej połowie lipca, to teraz była 18°0 w czerwcu a tylko 16°7 w lipcu.

*** Czasopismo naukowe Les Mondes, wydawane w Paryżu przez księdza Moigno przeszło w ręce towarzystwa i Moigno zrzekł się wszelkiej odpowiedzialności. Pismo to, obok wielu użytecznych wiadomości, oddawało się propagandzie religijno naukowej, co je nieraz na śmieszność wystawiało.

Sztuki piękne.

*** Nazwisko Siemiradzkiego pojawia się coraz częściej na szpaltach pism zagranicznych.

Niedawno jeden z dzienników francuskich podał biografję Siemiradzkiego (wprawdzie pełną fałszów), obecnie znów w „Pester Lloydzie“ spotykamy wiele zajmujących szczegółów z życia twórcy „Pochodni Nerona“.

Fejletonista przedstawił się Siemiradzkiemu w stolicy austrjackiej i na tle rozmowy z nim odbytej osnuł kilkustwierszowy odcinek o „dochodzącym do sławy olbrzymiemi krokami genjalnym artyście“.

„Siemiradzki — pisze dziennikarz niemiecki — już samą postacią wzbudza powszechną sympatję.

„Bladą twarz jego, ocienioną czarnym zarostem, ożywia para wyrazistych i powabnych oczu.

„Skromny i cichy, nie ma Siemiradzki żadnej pozy; odzywa się on mało, używając w rozmowie z cudzoziemcami poprawnej francuzczyzny.

„Mytyczna mgła otaczała dotąd artystę — krążyło o nim mnóstwo bajek i nieprawdziwych wieści, które wzmogły się jeszcze od chwili, gdy Siemiradzki kolosalne swe płótno oddał na rzecz publiczną.

„Nie wiedziano np. gdzie się urodził, gdzie młodość swą spędził i gdzie obecnie stale przebywa.

„Henryk Siemiradzki obaczył światło dzienne w Charkowie, gdzie ojciec jego chwilowo przebywał.

„Tu ukończył gimnazjum i tu też rozpoczął studja uniwersyteckie.

„O pędzlu i palecie młodziutki Siemiradzki nie myślał — chciał on zostać badaczem natury, do której osobliwszy czuł pociąg.

„Naukom przyrodniczym oddany cały, główny nacisk kładł na anatomję porównaczą i entomologję.

„Co więcej! około roku 1863 złożył Siemiradzki ostateczny egzamin i wskutek przedłożonej świetnej rozprawy swej „O instynkcie owadów", uzyskał stópień kandydata nauk przyrodniczych".

Tu jednak przełom — przyrodnik chwyta z całym zapałem za pędzel, z naturalisty wyrasta niepospolity w naszych czasach malarz.

Opowiada więc dalej feljetonista „Lloyda o pobycie Siemiradzkiego w petersburskiej akademji, gdzie złoty medal uzyskał, wspomina o studjach czynionych w Monachjum bez zaciągnięcia się pod sztandar naczelnych tam mistrzów, widzi wreszcie naszego słynnego rodaka w mieście świętem, w Rzymie.

„Pierwszym obrazem Siemiradzkiego, który zwrócił nań baczniejszą uwagę, była wystawiona w Monachjum „Bachanalja z czasów rozkwitu rzymskiego cezaryzmu".

„Po „Bachanalji" zjawiła się „Jawnogrzesznica" — płótno, które na wystawie wiedeńskiej spopularyzowoło już imię artysty.

„Teraz wychodzą z pod jego pędzla „Pochodnie Nerona", które Siemiradzkiemu podczas paryskiego wszechświatowego turnieju jednają wielki medal „d'honneur" i czerwoną wstążkę legji honorowej.

„Olbrzymie to płótno, znajdujące się obecnie w Berlinie, darował właśnie Siemiradzki swemu społeczeństwu".

Według feljetonisty, ofiarę tę oceniono należycie, jest ona bowiem niezwykle wspaniałą.

Stworzenie takiego dzieła wymaga, prócz kilkuletniej pracy, wielkich materjalnych wykładów.

Powołuje się tu feljetonista na słowa znakomitego malarza wiedeńskiego, który najdokładniej wyrachował, iż Matejko za same modele do swej „Bitwy pod Grunwaldem" zapłacił 8,000 guldenów.

„Obrachujcie teraz — mówi dalej feljetonista — wartość podarunku!

„A przecież Siemiradzki należy do tych malarzy, którzy na swoje dzieła każdej chwili znaleźć mogą amatorów.

„Handlarz amuletów", który aż na filadelfijską wystawę trafił, jest własnością p. Kronenberga z Warszawy — podziwiane w Monachjum płótno „Wazon czy kobieta" zakupił bogaty przemysłowiec warszawski Lilpop — wreszcie ozdoba tegorocznego paryskiego „Salonu" głośny „Taniec wśród mieczów" uwieziony już został do zbiorów hr. Orłowskiego na Podolu...

...„Teraz Siemiradzki zmuszony jest niejako do malowania własnego portretu.

„Galerja Uffizii" w Florencji uprasza go o to od lat dwóch, a wiadomo, iż w tym przedziwnym zbiorze znajdują się własne portrety najsławniejszych mistrzów, na których czele błyszczy lwiogrzywy Leonardo da Vinci.

„Młody Polak znajdzie się wkrótce w tem dostojnem towarzystwie, co za wszystkie winno starczyć mu nagrody".

W końcu opisuje feljetonista atelier Siemiradzkiego w Rzymie na Via Margutta pod nr 5, w pobliżu Monte Pincio i Piazza del Popolo.

Via Margutta niezwykle jest niedostępną, czego zapewne artysta, chcąc uniknąć natrętnych odwiedzin, chciał umyślnie.

Dla uzyskania lepszego światła Siemiradzki musiał zdjąć połowę dachu.

„I tu rosną te pełne barw uroczych arcycenne płótna i tu żyje i tworzy w najszczęśliwszem rodzinnem otoczeniu trzydziestosześcioletni mistrz — a jak wiele ma on jeszcze czasu do napełnienia świata swą potężną sztuką!..."

*** Jeden z miłośników sztuki zwiedził w tych dniach zbiór obrazów, nagromadzony przez znanego malarza i celnego płócien restauratora p. Piotra Kaczorowskiego w Warszawie.

P. Kaczorowski od lat kilkanastu szukał, szperał i gromadził rozrzucone po różnych zakątkach kraju dzieła mistrzów starych.

Niejedną rzecz wartościową wydobył on z ukrycia, uchronił niejedną od niechybnej zagłady i często na pozór zniszczonemu płótnu przywrócił pierwotną postać.

Ztąd w galerji p. Kaczorowskiego — jak zapewnia nas widz wspomniany — mieścić się mają: „Magdalena" Le Sueura — „Bitwa" Rugendosa — „Polowanie" Snidersa — plafony Carla Morati, portret księcia Józefa pędzla Bacciarellego, obrazki Horacego Verneta i wiele innych dzieł ręki artystów włoskich, flamandzkich lub niemieckich.

Między temi wykończeniem, miękkością i delikatnością pędzla, żywym kolorytem i harmonijnym figur układem uderzać ma obraz małych rozmiarów przedstawiający „Zdjęcie z krzyża", a przypominający rodzaj Karola Dolce.

Słowem, cała galerja pana K. budzić może prawdziwe zajęcie w wykształconym wielbicielu sztuki.

*** „Kobieta czy wazon" i „Rozbitek", znane obrazy Siemiradzkiego, po ukończeniu wystawy monachijskiej, gdzie tak gorącego doznawały przyjęcia, umieszczone zostały w „Künstlerhausie wiedeńskim.

*** W Brukselli organizuje się na rok 1880 historyczna wystawa sztuki belgijskiej. Będzie ona obejmować wyłącznie dzieła wykonane przez artystów belgijskich. Wystawa ta stanowić będzie niejako uzupełnienie galeryj muzeum nowożytnego.

*** Wielki koncert na Trocadero na rzecz towarzystwa artystów dramatycznych zwabił cały niemal Paryż. W koncercie wzięła udział Adelina Patti, którą publiczność przyjęła grzmiącym oklaskiem. „Diva" odśpiewała arję z „Semirady", arję z Verdi'ego „Hernaniego" i znaną pieśń Wiktora Hugo „Si vous n'avez rien à me dire". Dochód z koncertu osiągnięty wynosi 64,000 franków.

*** Z Monachjum piszą: Monachijska wystawa międzynarodowa sztuk pięknych zrobiła, jak wiadomo, fiasco. Nagrody porozdawane najniesprawiedliwiej, wywołały powszechne oburzenie. Inne okoliczności przyczyniły się także do tego. Rozkład sal pierwszą był przyczyną szemrania. Następnie oburzyło wszystkich lekceważenie Makarta, a gdy obraz jego umieszczono osobno, nie na wystawie, lecz w sali na mieście, dzienniki podjęły wrzawę. Niezadowolenie doszło do najwyższego stopnia, po przysądzeniu nagród, i rzeczywiście czytając listę nagród, dziwić się trzeba, jak komitet podobne mógł wydawać sądy. Najznakomitsze dzieła pominięto, a lichoty otrzymały medale pierwszej klasy.

Jeden z malarzy, Schuman, zemścił się na sędziach w sposób niedość szlachetny. W sali towarzystwa sztuk pięknych wystawił on świeżo ukończony obraz, którego przedmiotem są małpy urządzające międzynarodową wystawę sztuki. Małpy te zupełnie są podobne do członków komitetu wystawy monachijskiej. Tłumy oglądają to malowidło wykonane rzeczywiście z wielkim talentem, co każe domyślać się, że i to dzieło Szumana, które odrzucił komitet — musiało także posiadać godne uznania zalety.

Teatr.

*** W śródmieściu Warszawy stanąć ma z początkiem wiosny nowy, letni i zimowy teatr, wraz z nieodłącznemi dziś od przybytku Muz... apartamentami Gambrynusa.

*** Teatr pragski wystawi wkrótce operę Rubinsteina „Machabeusze"; kompozytor przybędzie dla kierowania pierwszemi przedstawieniami.

*** W berlińskim „Rezidenz-theater" grany ma być wkrótce pięcioaktowy dramat Roderyka Felsa p. t. „Hrabina Kozierowska".

*** Pierwsze przedstawienie opery Rubinsteina „Nero", w hamburgskim teatrze miejskim zyskało świetne przyjęcie. Kompozytora wywołano po pierwszym, trzecim i czwartym akcie. Artystów gorąco oklaskiwano. Wystawa opery olśniewająca.

*** W paryskim teatrze "des Nations "przedstawiono w piątek po raz pierwszy "Les Mirabeau", dramat w pięciu aktach a ośmiu obrazach Juljusza Claretie; publiczność przyjęła sztukę bardzo życzliwie.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Osuszenie błot pińskich posuwa się energicznie naprzód, nietylko z inicjatywy rządu, lecz także staraniem mieszkańców okolicznych. Ogółem w ciągu trzech lat ofiarowali lub zdeklarowali się ofiarować na cel osuszenia przeszło 90.000 rubli następujący obywatele miejscowi: ks. Witgenstein, hr. Broel-Plater, hr. Tyszkiewicz, hrabina Heiden, hr. Czapski, jeneral Chłapowski, pp. Kieniewicz, Prozor, Szyrma i wielu innych. Oprócz tego niektórzy z obywateli dobrowolnie zgodzili się na zniesienie młynów znajdujących się w ich dobrach, a stanowiących przeszkodę dla kanalizacji; są to pp. Oskierko, Janiszewski, Ćwierko i p. Chołodowska.

*** Tegoroczne zbiory w Anglji wypadły daleko gorzej niż dotąd sądzono; zamiast przeciętnej liczby 11,278.400 kwarterów pszenicy, zebrano w tym roku tylko 6,846.000 kwarterów.

*** W Prusach w ciągu roku, od chwili wydania ustawy o socjalistach, zakazano 204 towarzystw, 307 broszur albo dzieł i 184 dzienników albo przeglądów.

*** W angielskiem miasteczku Hampstead, znaleziono na ulicy zastrzelonego ajenta tajnej policji niemieckiej Petersa, wysłanego tam dla śledzenia czynności klubu angielskich robotników; robotnikom było wiadomem kto jest Peters.

Subskrypcja dla dotkniętych powodzią w Murcji przybiera kolosalne rozmiary. Pewien mieszczanin z Alicante ofiarował na ten cel 8 miljonów realów (2 miljony franków); papież ofiarował 6.000 franków.

*** W Neapolu rozpoczęły się obrady kongresu dla częściowego rozbrojenia. Udział słaby. Obradom przewodniczy Ricciardi.

*** W Croydon otwarto wystawę przedmiotów, mających związek z hygieną. Udział wzrósł znakomicie w porównaniu z poprzednią wystawą. Liczba wystawców zdwoiła się, a przedmiotów eksponowanych potroiła. Na szczególniejszą uwagę zasługuje literatura hygieniczna.

*** W Wiedniu 17. października, z inicjatywy dra Eiricha zebrało się około dwudziestu pisarzy i kompozytorów, celem naradzenia się nad założeniem Stowarzyszenia dla obrony praw autorskich. Obecni zgodzili się utworzyć „towarzystwo autorów dramatycznych i kompozytorów", upoważniając dra Eiricha do wypracowania odnośnych statutów. Drowi Eirichowi przydano do pomocy komitet, w skład którego wchodzą Anzengruber, Mantner, Schlesinger, Storch, Suppe i Zell.

*** W Bonn na wiosnę przyszłego roku odsłonięty zostanie uroczyście marmurowy posąg Schumana.

*** W San-Marino wiadomość o projekcie założenia domu gry, wywołała oburzenie figur rządowych. Konsul tej mikroskopijnej rzeczypospolitej, przebywający w Turynie, zamieścił z jednej z gazet włoskich następujące oświadczenie: „Od pewnego czasu krąży uparcie wieść, iż rząd rzeczypospolitej San-Marino zezwoli na założenie domu gry, na swojem terytorjum. Niżej podpisany, na mocy udzielonego mu upoważnienia, formalnie zaprzecza tej wiadomości, rozszerzanej umyślnie i z nieczystego pochodzącej źródła. Rząd San-Marino aż nadto dobrze wie, że dom gry zniweczyłby podstawy, na których opierają się swobodne instytucje kraju."

Protestacja powyższa ogłoszona została w dzienniku turyńskim, z tej ważnej przyczyny. — że San-Marino — niewiadomo czy będzie posiadało dom gry, ale to pewna, że ani jednej własnej gazety nie posiada.

Wynalazki i odkrycia.

*** Z Cincinati donoszą, że profesor Graydon wynalazł nowy przyrząd do słyszenia, nie mający nic wspólnego ze znanym dotąd pod nazwą audyfonu. Za pomocą tego przyrządu, który wkłada się do ust, dźwięki dostają się do nerwu słuchowego, nie zwykłą drogą. Tak wieść głosi, o ile zaś jest prawdopodobną, niech sądzą o tem specjaliści. Podług relacji dziennikarskich, bardzo ciekawe doświadczenia w tym przedmiocie miały odbyć się niedawno w instytucie

głuchoniemych w Cincinati. Młoda dziewczyna pochodzenia indyjskiego, zupełnie głucha, powtórzyła dosłownie z odległości 25 stóp, wszystko to co powiedział profesor. Inna znowu mała dziewczynka, głuchoniema od urodzenia, gestami dała poznać, że słyszy i rozróżnia dźwięki, których naturalnie rozumieć nie mogła, gdyż były to pierwsze brzmienia, jakie ją w życiu doleciały.

Świadkowie prób powyższych spodziewają się, że przyrząd słuchowy osiągnie kiedyś cel zamierzony, zwłaszcza jeśli Edison po ukończeniu badań nad światłem elektrycznem zechce zająć się udoskonaleniem tego wynalazku. Wtedy, (wyjąwszy tylko wypadki sparaliżowania nerwu słuchowego), nie będzie już na świecie głuchych, a tem samem i niemych, gdyż niemota jest bezpośrednim rezultatem głuchoty, skoro więc zniknie przyczyna, zniknąć musi koniecznie i jej skutek.

*** P. Rychnowski we Lwowie, inżynier pyrotechnik, zbudował na nowej zasadzie machinę dynamo-elektryczną do oświetlania. Model wykonany ma siłę trzech ćwierci konia, funkcjonuje wybornie i daje o 20% więcej prądu niż takiej samej siły machiny Gramma. Tym małym przyrządem, przy obracaniu ręką można wywołać prądy tak silne, iż rozpalają do białości drut platynowy 15 centymetrów długi a ¾ milimetra gruby. Obecnie buduje się według tegoż systemu machina na siłę sześciu koni. Tenże sam p. R. wynalazł nowy regulator do światła elektrycznego, prosty niezmiernie a jednak regulujący z wielką dokładnością. Szczegóły podamy po próbach obszerniejsze.

*** Telefony p. Machalskiego zostały w ostatnich czasach o tyle ulepszone, iż głos jest tak silnym, że mowę blaszki żelaznej można słyszeć z drugiego pokoju. Pan Machalski wziął patent na swój wynalazek.

*** Trzej nauczyciele w Królewcu skonstruowali przyrząd do latania w powietrzu za pomocą skrzydeł; próba jednak nie mogła się odbyć, gdyż w ostatniej chwili przyrząd został uszkodzony.

*** Palisa, dyrektor morskiej stacji meteorologicznej, odkrył w ciągu z. m. już czwartą, a ósmą w tym roku asteroidę; w ten sposób liczba asteroid wzrosła do 208.

Handel i przemysł.

*** Krąży coraz uparciej wieść, iż pomiędzy Austro-Węgrami a państwem niemieckiem przyjdzie do zawarcia traktatu taryfowego; ważną wskazówką pod tym względem jest okoliczność, że austrowęgierska konferencja celna zajmuje się formułowaniem pozytywnych propozycyj, czysto celno-politycznej natury i oznacza zmiany, które państwo niemieckie miałoby w swoich taryfach do przeprowadzenia.

*** O wstrzymaniu poboru cła od zboża do Niemiec wchodzącego, uporczywie powtarzają się wieści, powód do tego podały zapewne izby skarbowe, proszące o odroczenie terminu. Izba toruńska postanowiła wnieść do rady związkowej petycję treści następującej: „Zważywszy: 1) ze zbiór żyta w wielu okolicach Niemiec dał rezultaty zaledwie średnie i że młocka nie odpowiedziała nawet oczekiwaniom; 2) że Rossja, Galicja i Węgry miały zbiory niedostateczne; 3) że prawie w całych Niemczech zbiór grochu, jęczmienia i owsa był nędzny; 4) że w niektórych okolicach Niemiec ziemniaki się nie urodziły, w innych zaś owoc był zepsuty z rozmaitych powodów; 5) że wywóz ziemniaków z Niemiec do Anglji przybrał znaczne rozmiary; 6) że ceny zboża nagle się podniosły na wszystkich targach i wreszcie 7) że są uzasadnione obawy nędzy w roku przyszłym, upraszamy najpokorniej wysoką radę związkową o wzięcie pod rozwagę, czyby się nie dało odroczyć wprowadzenia cła przywozowego od zboża, owoców strączkowych i paszy, które ma wejść w wykonanie dnia 1. stycznia r. 1880.

*** O sztucznej hodowli ryb. Pod tym tytułem ogłasza „Ekonomista“ w kilku już numerach bardzo zajmujący i bardzo pożyteczny artykuł. Zwracamy na niego uwagę właścicieli wiejskich, którzy mają wodę: przeczytawszy go przekonają się jak niewielkim stosunkowo kosztem mogą zarybić stawy, jeziora i rzeki, otworzyć dość znaczne źródło dochodów dla siebie i swoich potomków, a zarazem wyświadczyć krajowi prawdziwie obywatelską przysługę. Sztuczna hodowla ryb wysoko udoskonalona rozwija się bardzo pomyślnie w całej Europie, próby rozpoczete zostały i u nas, ale na małą skalę, pomyślnego rezultatu kraj oczekiwać może od połączonych usiłowań tysiąca właścicieli.

*** W roku przyszłym urządzona będzie w Wiedniu wystawa przemysłowa; czas jej trwania oznaczono od 15. lipca do 15. października.

*** Berlińska wystawa przemysłowa przyniosła dochodu 867,060 marek, z czego po potrąceniu kosztów pozostaje 350,000 marek czystego zysku.

KATASTROFA W HISZPANJI.

Okropny obraz spustoszenia!...

Najżyźniejsze, najbogatsze i najlepiej zagospodarowane prowincje Hiszpanji uległy rozpasanemu żywiołowi...

Gdzie okiem sięgniesz, zamiast tropikalnej roślinności, będącej bogactwem mieszkańców a podziwem cudzoziemców, widzisz jedynie olbrzymą pustynię, po której płyną czarne, czerwonawe, białe lub szare wstęgi w miarę tego, czy woda unosi szlam, glinę, piasek lub krzemień.

Drzewa albo wyrwane z korzeni, albo tak pochylone, że wierzchołkami dotykają ziemi, pokryte wszelkiem śmieciskiem, pędzonem prądami wody.

Niezliczona ilość ferm, rozsianych po płaszczyźnie żyznych dolin, rozsypała się, porwana wichrem, po dalekich rozłogach, a mieszkańcy ich, którzy nie znaleźli schronienia na wieżach kościelnych i wysokich drzewach, leżą w tej chwili głęboko w kałużach, które się z dolin potworzyły.

W tych bagniskach tonie też bydło i zwierzęta domowe, których nie można było ocalić!

Palące słońce rozgrzewa te zatrute i trujące wody, z których powierzchni unoszą się we dnie cuchnące miazmy, a w nocy gęste i ciężkie mgły, podobne do ługowej pary, wydzierającej się z okien pralni.

W pierwszej chwili nie zdawano sobie dokładnej miary z okropności spustoszeń, jakim uległa Murcja — od czasu powodzi w r. 1651 i 1802 nie widziano tu podobnej katastrofy.

Burza szalała w całej Andaluzji, ale największą klęskę zadała górzystej prowincji Almerji stanowiącej wgłębioną kotlinę.

W wielu miasteczkach, jak Velez, Rubio, Hijar, Berga, Ganyajar, a przedewszystkiem Vera uniosła wszystkie domy i zabudowania.

Na brzegach Garruchy i Very znaleziono szczątki okrętów obok 12 trupów.

Malagę burza nawiedziła w nocy...

Woda, nie mając odpływu, rozlała się po ulicach, wdarła do domów, sięgając do pierwszych piąter; dopiero po 24 godzinach znalazł się znowu grunt pod miastem...

Murcja w żałobie...

Ucierpiała ona najsrożej...

Była godzina po północy, gdy wśród błyskawic i grzmotów stróże nocni spostrzegli, że woda w Segurze z nadzwyczajną gwałtownością przybiera...

Zaledwie czasu starczyło na uderzenie w dzwon sygnałowy, gdyż woda już przerywała mosty, wały i tamy, prąc się ku wewnętrznym dzielnicom miasta.

Stacja kolei żelaznej wraz z warstatami, zakład gazowy, instytut, szpital, połowa wreszcie miasta, 90,000 dusz liczącego — zniszczona...

W blasku pochodni usiłowały władze, gwardje cywilne, strażacy ogniowi, mieszkańcy przedmieść San Lorenzo i San Benito ratować, co było można, przed wodą, która dosięgła najwyższych piąter, tworząc grozę istnego potopu...

Straszna to była noc dla mieszkańców Murcji!

Rozdzierający krzyk tonących, ponure jęczenie dzwonów, łoskot piorunów i ryk grzmotów mięszały się z pluskiem spadających mas wodnych i z głuchem skrzypieniem walących się domów.

Gdy błysnął poranek d. 15 października, Murcja była olbrzymem jeziorem; z którego wyrastało parę wież kościelnych, nieco dachów poszarpanych i szczupłe kępy stałego lądu, po ktorych toczyli się pół nadzy mieszkańcy, podczas gdy dokoła huczał ocean, porywając ludzi, zwierzęta, wozy i domy...

Niepodobna było przynieść mieszkańcom pomoc w pierwszych 48 godzinach, ponieważ woda przewyższyła zwyczajny poziom rzek i strumieni o 16 — 17 metrów.

Gdy nad wieczorem zaczęła nieco opadać, rozpoczęły dopiero władze Murcji pracę około ratowania okolic; tu dopiero dramat okazał się w całym majestacie nieszczęścia.

Era Alta, Norduermas, Torreaguera i 20 innych wsi, zaskoczonych w głębokim śnie, utonęło pod wodą...

Mieszkańcy którzy ocaleli z pogromu, przepędzili cały dzień 15-go października na szczytach domostw i wieżach kościelnych.

Gwardja cywilna czyniła heroiczne wysilenia, aby uratować jak najwięcej ludzi od niechybnej śmierci, ale nie wszędzie starczyły czas i siły.

Niebo, powleczone szarym całunem, chmurzyło się groźnie przez 48 godzin, tworząc posępną harmonję z obrazem ruiny na przestrzeni 6 — 7 mil.

Powódź, wziąwszy początek na płaskowzgórzu rzeki Segury, wzmogła się olbrzymio dopływami rzek, pędzonemi z łona gór, w prowincjach Alicante i Murcji.

Tejże samej nocy wtargnęła woda do przedmieścia Orihuela, w ludne miasto Lorca i 20 innych miejscowości, a przerażone władze nie umiały zorganizować żadnego ratunku.

Następujące cyfry, o ile dotąd możnabyło w najdalszem przybliżeniu obliczyć, mogą stworzyć niejakie wyobrażenie o rozmiarach klęski.

W mieście Murcji i otoczeniu władze zarządziły pogrzebanie 320 zwłok ludzkich, przeważnie kobiet i dzieci; sądzą jednak, że cyfra ta dosięgnie 600, gdy mur leżący dokoła opadnie i odkryje tajemnice swego brudnego łona.

W Orihuela i Lorca zebrano 200 trupów, a na brzegach Segary aż ku morzu spotykają co kilkadziesiąt kroków ciała, wyrzucone prądem rzeki, których ojczyzny i rodziny nikt już może nie odpyta...

Liczba osób bez mienia i dachu, nad którymi czuwa wielkoduszne miłosierdzie biskupów w Murcji i Orihueli, przerasta w stolicy prowincji 5,000 głów, w okolicach 11,000.

Szkody materjalne, wedle obliczeń senatorów i deputowanych tych prowincyj, wyniosą co najmniej 70 miljonów franków.

Rząd rozpoczął dzieło ulżenia skutków przerażające katastrofy; wydany dnia 18 z. m. okólnik zarządza składkę publiczną.

W Madrycie na pierwsze echo wezwania zebrano 700,000 fr., tudzież olbrzymie zapasy odzieży, które natychmiast wyprawiono ofiarowanemi przez zarządy kolejowe bezinteresownie pociągami.

Król w towarzystwie dwóch ministrów, księcia Sesto, jenerała Ceballos, admirała Pavia, i swego gabinetu wojskowego, przybył na miejsce klęski, pierwszym pociągiem, który mógł dotrzeć aż do miejsca zatopionych.

Obawiają się obecnie wybuchu febry tyfoidalnej lub epidemji, gdyż cuchnący i pełen szczątek organicznych kał nazbyt długo gnił na ogromnej przestrzeni lądu, palonego słońcem połuhnia.

Treść Nr. 42.

str.

Z niedawnej przeszłości. Szkice węglem Litwosa. (c. d.) 653

Pogadanki o różnych mniemaniach naukowych i nienaukowych. (dok.) 655

Parasol pana Thompsona przez K. Dikensa. . 657

Szkice pedagogiczne, Dra Juljana Ochorowicza. III. Cynizm w naszej młodzieży. . . . 659

Leonard Chodźko i jego prace. Krótki rys biograficzny i naukowy. Skreślony przez Aleksandra Wernickiego. (c. d.) 660

Trzy siostry, Wiersz, napisał Czesław. . . 661

Ten mały. Powieść Alfonsa Daudeta przekład Wincenty Limanowskiej. (c. d). . . . 661

Kronika tygodniowa. 665

Wiadomości z kraju i ze świata. . . . 666

Katastrofa w Hiszpanji. . . . 668

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.